SCENA POLSKA NEDERLAND POOLS PODIUM

Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

nr 4(124)/2025

ISSN 1233-7633

Do Siego Roku 2026!

BRAT

REŻYSERIA
MACIEJ SOBIESZCZAŃSKI

SCENARIUSZ
MACIEJ SOBIESZCZAŃSKI
GRZEGORZ PUDA

Zofia Schroten-Czerniejewicz
Redaktor Naczelna

Od redakcji

Artykuł wstępny w okresie świątecznym powinien mieć charakter wyjątkowy, tak jak sama atmosfera świąt. W tym czasie staramy się być bardziej życzliwi i lepsi dla ludzi oraz świata, oczekując jednocześnie wzajemności. Czy prawdą jest, że karma wraca? Nie zaszkodzi spróbować.

Nasi autorzy, a także czytelnicy, pochodzą z różnych stron świata, choć oś Niderlandy–Polska pozostaje dla nas kluczowa. Nie znam innego czasopisma, które miałoby taki zasięg i taką tematykę. Współcześnie podział na Polonię i Polskę wydaje się już przeszłością. Przemieszczamy się szybko, zmieniamy miejsca zamieszkania, zdarzają się też powroty do Polski po wielu latach. Może warto więc wczytać się w teksty naszych autorów, by lepiej się poznać i zrozumieć. Jesteśmy tak różni, a jednocześnie w pewien sposób podobni.

Nasze pismo ma już ponad 30 lat. Pierwsze teksty, trudno w to uwierzyć, powstawały piórem – tak pisała swoje wiersze śp. Wanda Sieradzka de Ruig.

Pod szafką, na której kiedyś stał fax, trzymam odkurzacz. „Mamo, gdzie jest odkurzacz? " – wciąż odpowiadam: „Pod faxem". Dawniej nakład kwartalnika wynosił 3 000 egzemplarzy i był rozdawany podczas imprez i spotkań w Holandii i w Polsce, trafiał do urzędów i instytucji. Dziś to przeszłość; pozostało obszerne archiwum zdjęć, rękopisów i materiałów filmowych. Obecnie drukujemy niski nakład, by „Scena Polska" nadal trafiała do bibliotek i instytucji zachowujących dorobek społeczno-kulturalny środowisk polonijnych oraz promujących kulturę polską na świecie, a w Holandii w szczególności.

Dlatego w przeszłości mogliśmy liczyć na wsparcie finansowe w utrzymaniu wydawnictwa – nie redakcji ani autorów, którzy pracują społecznie i z pasją. W minionym roku, po raz pierwszy od 30 lat, nie otrzymaliśmy wsparcia ze środków polonijnych przyznawanych mediom. Reklam płatnych nie mamy, bo co możemy zaoferować sponsorom? Że nasz czytelnik kupi dzięki nam samochód, dom czy biżuterię? Dlatego na okładkach prezentujemy naszych przyjaciół i wydarzenia, które wspieramy promocją – i tak jest zawsze.

Wydanie czasopisma, które rozchodzi się także drogą internetową, ale zachowuje formę drukowaną, choć w niskim nakładzie, wymaga nakładów finansowych. Napisałam kolejny wniosek o dotację na 2026 rok i poinformuję Państwa o wynikach, które będą znane prawdopodobnie na wiosnę. Może razem stworzymy sobie prezent i uratujemy „twarz" – nie chcemy być dłużnikami.

Ośmielił mnie przyjaciel, dziennikarz z Polski, że nie jest wstydem, że pisma komercyjne również proszą czytelników o wsparcie. Może więc ja, w imieniu naszej redakcji, również poproszę?

Zofia Schroten-Czerniejewicz
Wszystkim Przyjaciołom „Sceny Polskiej" życzymy Do siego Roku 2026!

Wpłaty z dopiskiem **PISMO** prosimy przekazać na konto:
Stichting Pools Podium, **NL85 ABNA 0518 5444 43**
SWIFT/BIC: ABNANL2A

Spis treści

Anka Kozieł
Szklane obrazy....4

„Czarny Anioł" – twórczynie spektaklu – Dookje Engelhard i Ewa Chojecka....6

Eugeniusz Brzeziński
Bluzka z najwyższej jakości materiału....7

Zofia Schroten Czerniejewicz
Dom przy Kmicica– uleganie pasjom....8

Konrad J. Zarębski
Dokąd jedzie pociąg? 9

Anna Kos
Halina Jakubowska – dialog z materią, przestrzenią i światem.... 10

Andrzej Borucki
Koncert „Wielkopolanie – Wielkopolanom" – wielkie odkrycie „Mirra Rosz".... 12

Andrzej Skibniewski
„Duży" i „Mały Holender" – czyli co ma pływać, nie zatonie.... 14

Andrzej Niczyperowicz
W pozycji bociana.... 17

Jerzy Skoczylas
Zgodne Święta.... 17

Marek Grądzki
Święta, hej święta!!!.... 18

Grażyna Gramza
„Czekoladowa dynastia" – słodka saga na świąteczne dni.... 19

Izabella Perzyńska-Keizer
„Z Sybiru do Afryki. Zapomniana odyseja Polaków".... 20

Alek Silber
Fragment powieści „Parasol pełen kwiatów".... 23

Zofia Schroten Czerniejewicz
Andrzej Pągowski – artysta z przekazem....25

Dwór Skrzynki zaprasza.... 26

SCENA POLSKA | Nr 4(124)/2025 | ISSN 1233-7633
REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.
WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com
Stichting Pools Podium, **ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.**
www.scenapolska.nl | www.facebook.com/scenapolska
ZDJĘCIA: Archiwum SPP
SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map
OKŁADKA: Fot. Anka Kozieł
DRUK: Drukarnia DS Marcin Witecki

Szklane obrazy

ANKA KOZIEŁ

Witraże w Polsce kojarzą się przede wszystkim z architekturą sakralną. W prywatnych domach spotyka się je rzadko — może czasem w formie niewielkiej rozety w sypialni, choć sama nie pamiętam, bym kiedykolwiek natrafiła na taki przykład. Z dzieciństwa pamiętam za to popularne niegdyś „popielniczki", z których budowano ściany działowe w mieszkaniach czy świetliki na klatkach schodowych. Nawet dom mojego dziadka miał takie elementy.

Witraże w kościołach od średniowiecza pełniły funkcję wizualnych opowieści biblijnych dla niepiśmiennych wiernych — nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Tworzone przez artystów i rzemieślników, stanowiły kunsztowne kompozycje ze szkła ciętego i malowanego.

W Holandii natomiast witraże są obecne niemal wszędzie. Od maleńkich okienek łazienkowych, po monumentalne konstrukcje, takie jak te w Bijenkorf w Hadze, gdzie klatka schodowa ozdobiona jest zapierającymi dech w piersiach dziełami — na każdym półpiętrze można znaleźć małe arcydzieło. Na przełomie XIX i XX wieku, w okresie Art Nouveau i Art Deco, w Hadze powstały jedne z najpiękniejszych europejskich witraży. W tamtym czasie niemal każdy nowy projekt architektoniczny posiadał własny, oryginalnie zaprojektowany witraż. Architekt kreślił bryłę budynku, a witrażysta — szkło. Rzemieślnik, tzw. glaszetter, realizował ich wspólną wizję.

Dla mnie, muzyka i pedagoga, zainteresowanie witrażami może wydawać się nieco nietypowe. Jednak niewtajemniczonym przypomnę, że zanim studiowałam muzykę w Hadze, ukończyłam projektowanie w Katowicach. W moim życiu grafika i muzyka zawsze szły w parze. Ostatecznie zwyciężyła muzyka, ale nieustannie wracam do sztuki w różnych formach — projektuję okładki płyt, plakaty, logo.

Początkiem mojej przygody z witrażami był plan wymiany okien w domu. Cała fasada jest wypełniona witrażami z 1916 roku w stylu Art Deco, a ja nie potrafiłam wyobrazić sobie, by — jak wielu moich sąsiadów — po prostu je usunąć. Szukałam więc sposobu, by zachować oryginalne witraże, jednocześnie wymieniając okna na bardziej ekologiczne, bez naru-

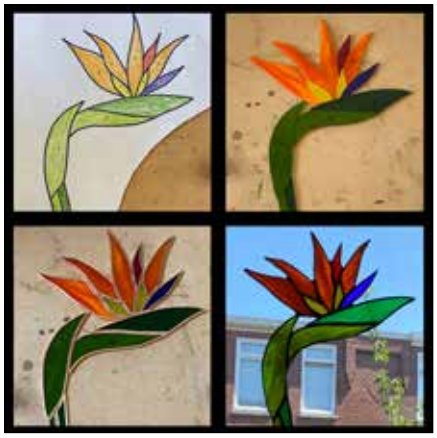

szania charakteru fasady i bez ponoszenia ogromnych kosztów.

Wtedy wpadłam na pomysł, by odrestaurować je samodzielnie. Ukończyłam kurs witrażu w pobliskim atelier, zdobyłam wszystkie potrzebne umiejętności, zakasałam rękawy i wzięłam się do pracy. Bardzo szybko ta „praca" okazała się najlepszą formą terapii i źródłem inspiracji do komponowania. Mój warsztat zajmuje stół w jadalni — tam projektuję witraże do okien i lamp, szklane parawany, ozdoby sezonowe, okazjonalne oraz wiele innych przedmiotów, które można stworzyć ze szkła, a przy tym w głowie układam nowe melodie. Korzystam z tradycyjnych technik tworzenia witraży, pracując zarówno z ołowianymi profilami, w które osadzam szkło, jak i metodą Tiffany, polegającą na oklejaniu każdego elementu taśmą miedzianą, a następnie łączeniu ich poprzez precyzyjne lutowanie.

Szkło, światło i kolor stały się częścią mojego codziennego życia — a każdy witraż to opowieść, która zaczyna się w mojej pracowni, a kończy w czyimś domu. Tworzę zarówno własne projekty, jak i prace na zamówienie, dopasowane do przestrzeni i osobowości klienta.

Prowadzę także warsztaty, na których można spróbować swoich sił w tej niezwykłej sztuce i stworzyć coś absolutnie unikatowego. Zapraszam: **info@ankakoziel.com**

Światło w szkle ma w sobie coś uzdrawiającego — i chętnie się tym dzielę.

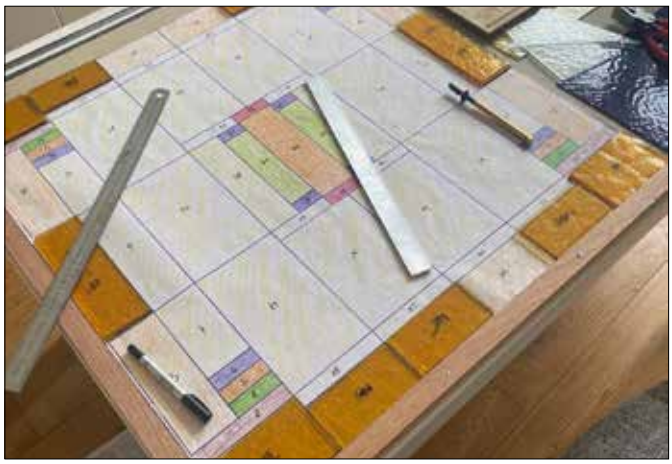

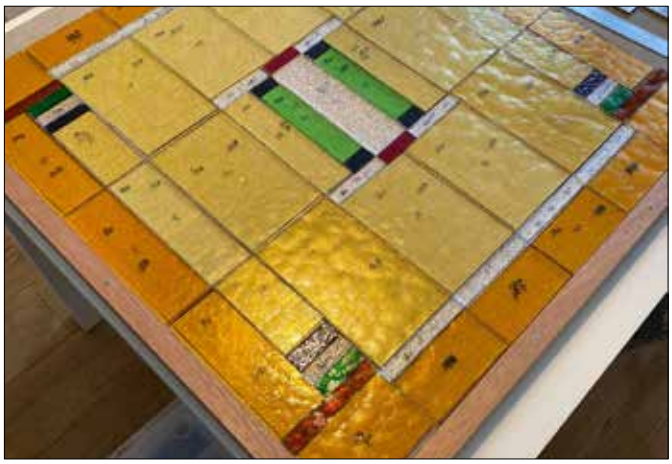

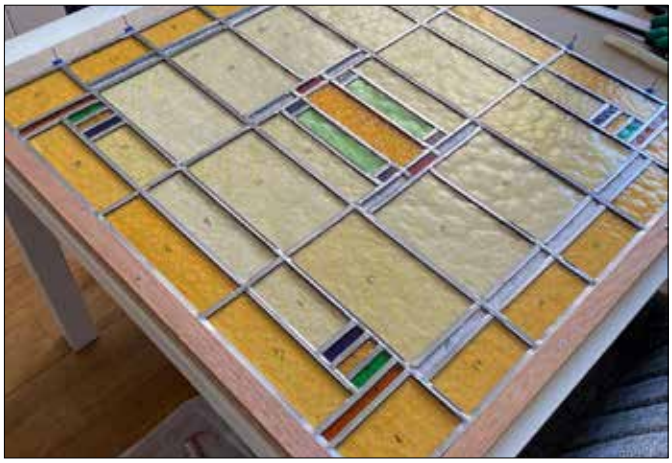

„Czarny Anioł” – twórczynie spektaklu – Dookje Engelhard i Ewa Chojecka

Dookje Engelhard i Ewa Chojecka wspólnie tworzą muzyczno-teatralny spektakl „Czarny Anioł”. Tytuł z pewnością brzmi znajomo, ponieważ tylko jedna polska artystka była tak nazywana. Oczywiście mowa o Ewie Demarczyk.

Kim są Dookje i Ewa? I co skłoniło je do stworzenia spektaklu opartego właśnie na piosenkach Ewy Demarczyk?

Dookje Engelhard (1981) urodziła się w Amsterdamie i dorastała w regionie Gooi. Studiowała teatr muzyczny na ArtEZ University for the Arts. Jest artystką wszechstronną: wokalistką, pianistką, kompozytorką, autorką tekstów (piosenek) oraz reżyserką. Przez niemal siedemnaście lat występowała na scenach w całej Holandii z autorskimi komediowymi spektaklami muzyczno-teatralnymi jako część kabaretowej formacji Meiden van LOS.

Ewa Chojecka (1984) urodziła się w Warszawie. W styczniu 1988 roku wraz z rodzicami, bratem i siostrą uciekła do Holandii, gdzie w pełni zintegrowała się z holenderską kulturą. Studiowała zarządzanie sztuką na Hogeschool voor de Kunsten Utrecht, a następnie małe formy teatralne (kleinkunst) w Studio Selma Susanna.

Obie artystki są wielkimi miłośniczkami muzyki i teatru, dlatego poznały się w czasie studiów w Utrechts Studentenkoor en Orkest (USKO). Po studiach ich drogi się rozeszły: Dookje przeniosła się do Arnhem, Ewa do Amsterdamu. Dzięki wspólnej miłości do muzyki – oraz psów – utrzymywały stały kontakt. Z czasem stało się tradycją, że co roku w okresie świątecznym spotykały się na długi spacer z psami, by nadrobić zaległości. Rozmowy często dotyczyły teatru, występów i muzyki. I choć znały się od lat, dopiero podczas jednego z tych spacerów odkryły, że obie uwielbiają muzykę bożonarodzeniową.

26 grudnia 2019 roku zasiane zostało pierwsze ziarno muzycznej współpracy. Dwa lata później narodziły się KerstMisses – teatralny duet kolędowy, który w okresie świąt występuje w różnych miejscach, śpiewając piosenki bożonarodzeniowe. Zarówno klasyczne, jak i mniej klasyczne, świąteczne przeboje prezentują w zupełnie nowych aranżacjach. Występowały m.in. w DeLaMar Café w Amsterdamie oraz w Nederlands Openluchtmuseum w Arnhem, zawsze z akompaniamentem fortepianu na żywo i często w duecie wokalnym. Współpraca układała się tak dobrze, że w 2024 roku stworzyły i zagrały własny, unikalny świąteczny spektakl dla dzieci: „Tajemnica skarpety Świętego Mikołaja” – przedstawienie o Świętym Mikołaju i Świętach Bożego Narodzenia, pełne autorskich piosenek mikołajkowych i świątecznych.

fot. Vanessa Scheer

Jednak, mimo że Ewa bardzo lubi muzykę świąteczną, coś zaczęło ją uwierać…

Przypadkiem, kilka lat wcześniej – dokładnie w 2018 roku – zetknęła się z muzyką Ewy Demarczyk. Wraz z mamą była w kinie na filmie „Zimna wojna”. Po powrocie do domu, szukając na YouTube muzyki z tego filmu, natrafiła na utwór „Tomaszów” w wykonaniu Ewy Demarczyk. Algorytm YouTube uznał, że Ewa Chojecka powinna usłyszeć Ewę Demarczyk. Ewa była niemal natychmiast oczarowana. Nigdy wcześniej jednak nie słyszała o tej piosenkarce i zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jaką ikoną była Demarczyk. Uświadomiła to sobie dopiero w rozmowie z mamą oraz po przeczytaniu artykułu w internecie, w którym Demarczyk została nazwana Edith Piaf Europy Wschodniej. Demarczyk była absolutną wielkością polskiej piosenki artystycznej.

Ewa Chojecka pomyślała wtedy: „Dlaczego nigdy wcześniej nie słyszałam tej muzyki? I dlaczego w Holandii wszyscy znają Edith Piaf, a nikt nie zna Ewy Demarczyk? ”

W tym momencie Ewa wiedziała już, co musi zrobić: stworzyć spektakl z piosenkami tej artystki, (częściowo) przetłumaczonymi na język niderlandzki. Minęło jeszcze kilka lat, zanim opowiedziała o tym pomyśle Dookje. Ta od razu zareagowała entuzjastycznie – zabrały się do pracy i tak narodził się spektakl „Czarny Anioł”.

O spektaklu „Czarny Anioł”

Przedstawienie opowiada o poszukiwaniu przez Ewę jej polskiej tożsamości, przy pomocy muzyki Demarczyk. Dookje natomiast reprezentuje tu trzeźwą, holenderską perspektywę. Spektakl jest hołdem dla muzyki Ewy Demarczyk, ale to także hołd dla ludzi posiadających więcej niż jedną narodowość.

Ewa Chojecka:

„Dzięki Demarczyk bardziej dopuściłam do siebie moje polskie korzenie. To ona po raz pierwszy sprawiła, że byłam dumna z bycia Polką. Była twórczynią teatralną – stawiała na sztukę, a nie na sławę. Pozostała wierna swoim korzeniom i to zainspirowało mnie, by bardziej dopuścić moje pochodzenie do tego, kim jestem jako imigrantka. Nie jestem dumna z Polski z powodu konserwatywnej polityki, ale jestem bardzo dumna z Demarczyk jako ikony polskiej piosenki. Ta sama – polska – krew, która płynęła w jej żyłach, płynie także w moich. Widząc w niej cząstkę siebie, mogę być dumna również z siebie jako Polki mieszkającej w Holandii.”

Dlatego nadszedł czas, aby sprowadzić Ewę Demarczyk do Holandii – a wraz z nią kawałek polskiej kultury, polskiej muzyki i polskiej poezji. W dniach 10, 11 i 12 kwietnia 2026 Dookje i Ewa zaprezentują po raz pierwszy 30 minut materiału z tego spektaklu w ramach cyklu Makerslab.Mokum w Teatrze Thopss w Amsterdamie. A tydzień później spektakl zaprezentowany zostanie, na zaproszenie Sceny Polskiej – Pools Podium w Holandii – w Polsce.

Więcej informacji pojawi się w kolejnym wydaniu u kwartalnika Scena Polska i na stronie www.scenapolska.nl.

Chcesz dowiedzieć się więcej o KerstMisses oraz o dziecięcym spektaklu „Tajemnica skarpety Świętego Mikołaja”? Odwiedź stronę: www.zingendepresentatrices.nl/kerstmisses

Bluzka z najwyższej jakości materiału

Eugeniusz Brzeziński

Agnieszka Osiecka, Magda Umer, Krystyna Janda. Trzy kobiety, trzy gwiazdy (jakie to banalne określenie!) które połączył los (Bóg, przypadek, przeznaczenie – nieprawdziwe proszę skreślić). Tak mówiła w wywiadzie Magda Umer. To było 10 lat temu, kiedy o tym opowiadała w wywiadzie dla telewizji. A dzisiaj Jej już nie ma. Zmarła nagle, w ubiegłą sobotę. A Agnieszka Osiecka zmarła już bardzo dawno. A Krystyna Janda żyje. I to jak! Postanowiła wznowić spektakl Och-Teatru. „Biała bluzka". Na cześć Magdy Umer, która go lata temu wyreżyserowała. A jedyny na świecie Teatr Telewizji w poniedziałek monodram ten pokazał. Nie mogłem oczu oderwać od Jandy. Nie mogłem przestać słuchać tekstu Osieckiej.

Napisany w 1987 roku spektakl odbija echem stan wojenny, bodaj czy nie najsmutniejszy czas w życiu naszego pokolenia. Najsmutniejszy, a przecież się śmiejemy, i to głośno, kiedy, niejako między wierszami, wypunktowane są absurdy tamtych lat. Albo może wszystkich lat tamtego peerelowskiego czasu. Od początku, od Stalina, któremu autorka dała imię Włodzimierz, bo inaczej cenzor nie chciał tego kawałka, o jego urodzinach i związanych z nimi prezentami, puścić. Ale jest to przecież też opowieść autobiograficzna. Agnieszka Osiecka zmagała się z alkoholizmem. Nie wiadomo, czy był to wynik, czy przyczyna Jej niekonwencjonalnego stylu życia. Nieważne. Ważne, że umiała, jak mało kto, wyrazić to swoje – i nie tylko swoje – życie w sposób absolutnie genialny. Jej gry słowami nie są tylko zabawą dla łatwych efektów; mają treść, znaczenie, podwójne – albo może nawet poczwórne – dno. A przy tym są po prostu (po prostu?!) piękne, wzruszające, niezwykłe. I mówią nam o ówczesnym życiu może więcej niż niejedna naukowa rozprawa.

Półtorej godziny monologu (z piosenkami) nie jest chyba najłatwiejszym zadaniem dla żadnej artystki. Krystyna Janda poradziła sobie wspaniale (choć chwilami bałem się, że głos ją zawiedzie). Ten spektakl nie pozwalał oderwać się od telewizora, nie pozwalał pójść zrobić sobie herbaty czy nalać wina (nota bene, fragment o piciu herbaty przez panie urzędniczki – po prostu genialny). Już dawno nie oglądałem niczego tak fascynującego.

PS. Jeśli ktoś ma możliwość, to spektakl jest do obejrzenia na TVP VOD. Namawiam z całego serca, bo takie perełki nie zdarzają się często. Co ja mówię: perełki! I co ja mówię; nie często! To jest perła, ogromna, błyszcząca perła. Pewnie jest ich więcej na świecie, tylko jak długo trzeba ich szukać? A tu mamy ją na wyciągnięcie ręki (z pilotem).

Dom przy Kmicica – uleganie pasjom

Zofia Schroten Czerniejewicz

Od czasu do czasu wpadam tutaj na krótkie odwiedziny. Wiem, w jakie dni są w mieście, bo jednak większość czasu spędzają w drugim domu w środku lasu. „Nowi Olendrzy" tak nazwał kiedyś mój rozmówca siebie i osiedlających się pod koniec XX wieku w lasach, z dala od utwardzonych dróg, przybyszy z miasta.

To dzięki Olendrom umocniła się nasza znajomość i współpraca. Gdy w ramach warsztatów filmowych „Sceny Młodych" przy Pools Podium przystąpiliśmy do realizacji filmu „Śladami Olendrów w Wielkopolsce", pomysł ten wsparł dr Andrzej Gawroński, pełniący wówczas stanowisko Honorowego Konsula Królestwa Niderlandów w Zachodniej Polsce oraz „Fundacja Gawrońskich". O Fundacji, którą kieruje jej prezes Krystyna Gawrońska pisaliśmy już wielokrotnie w kwartalniku.

„Fundacja została powołana w celu wszechstronnego wspierania i inspirowania rozwoju kultury polskiej, ze szczególnym uwzględnieniem działalności podejmowanej na rzecz zachowania pamięci o ludziach i miejscach niesłusznie zapomnianych, przywrócenia im należnego miejsca w świadomości narodowej oraz promowania sztuki, twórczości artystycznej i folkloru oraz oświaty i sportu w Poznaniu i w województwie wielkopolskim".

Tym razem, odwiedzając moich przyjaciół, postanowiłam spytać o ich pasje związane z kolekcjonowaniem dzieł sztuki i dlaczego Andrzej Gawroński, zapowiadający się świetnie sportowiec i mistrz Polski juniorów w koszykówce, wybrał sztukę stając się znawcą i właścicielem liczącej kilkaset dzieł kolekcji. Rozglądam się wokół, obrazy powieszone na ścianach, oparte, czekające na wolne miejsce…Krystyna i Andrzej Gawrońscy mają w planie założenie własnej galerii, miejsce podobno już wybrali.

Andrzej Gawroński fot. ZSCz

Pytam, kim się czuje, jakby siebie nazwał? Nie zwlekając odpowiada: humanista, historyk, polityk, kolekcjoner, sportowiec. Na kominku stoi puchar wręczony z okazji 50 rocznicy zdobycia 1973 roku Mistrza Polski. Bierze go do rąk, uśmiecha się do wspomnień…

A jednak sztuka. Naturalna kolej rzeczy, wyrastał w rodzinie, w której sztuka była pasją, a pierwszy obraz podarowała mu siostra mamy, ciocia Renia, historyk sztuki.

„Mój pierwszy obraz otrzymałam pracując jako studentka na Międzynarodowych Targach Poznańskich od wystawców z Japonii, to japońska akwarela Mito Tayo" – wspomina Krystyna Gawrońska i przynosi z drugiego pokoju wspomniane dzieło. Czuję, że jest moment, żeby spytać o osobiste zwierzenia. Jak się spotkali, czy połączyły ich właśnie wspólne pasje?

Krystyna i Andrzej z wykształcenia są ekonomistami, studiowali na jednym kierunku – Ekonomika i Organizacja Handlu Zagranicznego na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Poznali się pod koniec lat siedemdziesiątych na praktykach studenckich w Koninie. Ślub pary odbył się w 1980 roku w Poznaniu.

Zaproszeni na uroczystość weselną goście przynieśli upominki – były wśród nich dwa obrazy. To początek, liczącej dzisiaj ponad 500 dzieł, kolekcji.

Są w niej zarówno obrazy dawne jak i sztuka współczesna, nie brakuje też rzeźb i sztuki użytkowej. Mam nadzieję, że większość z tych wspaniałych dzieł zobaczymy w przyszłej Galerii Gawrońskich, na otwarciu której nie może zabraknąć redakcji i czytelników „Sceny Polskiej".

Dziękuję za rozmowę i życzę moim rozmówcom Zdrowych i Pięknych Świąt. ■

Autorka, Andrzej Gawroński i Krystyna Gawrońska fot. archiwum

Dokąd jedzie pociąg?

Konrad J. Zarębski

Nie tak bardzo dawno, bo we wrześniu 1825 roku, inżynier George Stevenson zasiadł za sterami skonstruaowanego przez siebie pojazdu o nazwie Locomotion No 1 i poprowadził pierwszy w dziejach pociąg, wiozący węgiel z kopalni do najbliższego portu. Pociąg składał się z kilku wagonów, w tym osobowego, i ciągnąc 80 ton ładunku pokonał odległość kilkunastu kilometrów w dwie godziny, osiągając miejscami prędkość do prawie 40 km/godz. Po drodze dokonał rzeczy dotąd niemożliwej – wyprzedził dyliżans. Tym samym po raz pierwszy w historii pojazd stworzony przez człowieka pokonał zwierzę.

Dodać należy, że prace projektowe nad koleją trwały dobrych kilka lat, zaś Stevenson rozwinął projekt, wykorzystywany od pewnego czasu w kopalniach, gdzie maszyny parowe wykorzystywano do poruszania wagoników z węglem. Próbę z udziałem Locomotion obserwowało około 40 tys. osób, a w ciągu kilku lat połączono koleją główne ośrodki przemysłowe Wielkiej Brytanii. Śladem Brytyjczyków poszły inne nacje Europy, na ziemie polskie kolej dotarła w 1842 roku.

Maciej Drygas jest wybitnym dokumentalistą, specjalistą od filmów zwanych „found footage" [metraż odnaleziony]. W swoim dorobku ma m.in. filmy „Usłyszcie mój krzyk" (o Ryszardzie Siwcu, który dokonał samospalenia na Dożynkach w 1969 roku; film jest debiutem Drygasa, wysnutym z 19-sekundowego materiału archiwalnego, którego nigdy wcześniej nie opublikowano), „Cudze listy" (analizujący korespondencję zwykłych mieszkańców PRL-u, zatrzymane przez Służbę Bezpieczeństwa) czy „Jeden dzień w PRL-u" (dokumentujący dzień powszedni przeciętnego Polaka na podstawie audycji radiowych, dokumentów, zapisków czy nawet donosów i milicyjnych protokołów). Ale ostatni film Drygasa, „Pociągi", ma zupełnie inny format.

Dzieło powstało w wyniku kwerendy reżysera w 50 archiwach filmowych. Drygas szukał filmów o podróżowaniu koleją – od słynnego „Wjazdu pociągu na stację La Ciotat" braci Lumiere z 1895 roku po równie głośną „Nocną pocztę", angielską klasykę z 1936 roku, czy najrozmaitsze – znane i nieznane – obrazy podróżnych. Początkowo te zapisy podróży miały być komentowane przez użytkowników kolei, reżyser równocześnie z filmami szukał zapisków, dzienników podróży i tym podobnych osobistych dokumentów. Kiedy jednak wraz z montażystą Rafałem Listopadem zmontowali pierwszy kwadrans filmu, komentarz okazał się zbędny. Zamiast głosów z off-u, zamiast lektora, zaraz po planszy tytułowej pojawia się krótka myśl Franza Kafki: „Nadziei jest wiele. Nieskończona ilość nadziei. Ale nie dla nas".

Trudno o lepszą metaforę ludzkiego losu niż podróż. Można powiedzieć, że „Pociągi" Drygasa są podróżą koleją przez historię XX wieku, ale to zaledwie część prawdy. To przede wszystkim opowieść o ludziach, o tym, jak potrafili wykorzystać wielkie osiągnięcia poprzedniego stulecia, nazywanego „wiekiem pary i elektryczności", czego wręcz symbolem jest kolej. Film zaczyna się od spektakularnych ujęć budowy parowozu. Ciąg dalszy jest już mniej spektakularny, wręcz gorzki – kolej staje się symbolem wielkich tragedii i to bynajmniej nie katastrof z jej udziałem, ale wojen, zsyłek i holocaustu.

Ciąg tych wydarzeń obserwowany jest za sprawą Drygasa z punktu widzenia użytkownika kolei: jedni migrują w poszukiwaniu lepszego życia, inni jadą na front pierwszej, a potem drugiej wojny światowej, jeszcze inni są przewożeni do obozów zagłady. A potem – tymi samymi wagonami – odbywa się kolejna migracja, przywracanie porządku świata po wojennej zawierusze. Przychodzi na myśl refleksja, że „Pociągi" są nie tyle zapisem historii XX wieku, ile ujawnieniem właściwemu człowiekowi popędu autodestrukcji, dążenia nie tyle do wolności, czym się dumnie chełpimy, ile do dominacji i zniszczenia. Dzieło Macieja Drygasa to jeszcze jeden dowód na to, że żyjemy w czasach antropocenu – kolejnej epoki w dziejach świata, która różni się od poprzednich tym, że to człowiek kształtuje otaczające go środowisko (naturalne, ale nie tylko), a czyni to wbrew samemu sobie.

Maciej Drygas

„Pociągi" miały swoją międzynarodową premierę na prestiżowym Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych IDFA w Amsterdamie w listopadzie zeszłego roku, gdzie dostały dwie nagrody – za najlepszy film i za montaż, a następnie objechały inne festiwale w kraju i za granicą, zbierając pokaźną kolekcję nagród.

Halina Jakubowska – dialog z materią, przestrzenią i światem

Anna Kos

„Rzeźba jest moim życiem" **– mówi z prostotą i spokojem Halina Jakubowska, artystka pochodząca ze Słubic, od ponad pięciu dekad mieszkająca i tworząca w Belgii. W jej głosie słychać tę samą cichą, wewnętrzną siłę, która przenika jej dzieła – ciężkie i delikatne zarazem, surowe, a jednak pełne czułości. To sztuka, w której kamień, stal i brąz prowadzą z artystką nieustanny dialog: o trwaniu, o przemianie, o potrzebie piękna w codzienności, o harmonii człowieka z naturą i przestrzenią.**

Do Belgii przyjechała w 1972 roku, nie przeczuwając jeszcze, że właśnie tam znajdzie swoje prawdziwe powołanie. Jak wielu młodych ludzi opuszczających wówczas Polskę, szukała lepszego życia – pracy, stabilności, poczucia bezpieczeństwa. Przez kilka lat prowadziła uporządkowaną, niemal przewidywalną egzystencję: pracowała w firmie ubezpieczeniowej, wychowywała dzieci, próbowała odnaleźć równowagę między obowiązkami a tęsknotą za czymś, co trudno było nazwać.

Halina i Jacek fot. autorka

Aż pewnego dnia los – jakby w geście łagodnej interwencji – postawił na jej drodze Królewską Akademię Sztuk Pięknych w Liège. Weszła tam z czystej ciekawości, z zamiarem rozejrzenia się, posłuchania. Wyszła odmieniona. *„To było jak zakochanie"* – wspomina. – *„Zrozumiałam, że kamień do mnie mówi. Nie miałam pojęcia o rzeźbie, ale wiedziałam, że muszę tego dotknąć, spróbować, zobaczyć, co z tego wyniknie."* Wspomina pierwsze tygodnie, gdy po zajęciach zostawała w pracowni do późna w nocy. Uczyła się prowadzić dłuto, słuchać materii, wyczuwać jej rytm. *„Kamień ma swoją wolę, swoje prawa. Nie można mu rozkazywać. Trzeba z nim współpracować."* Ta filozofia pozostała z nią do dziś – jako fundament jej sztuki i sposobu bycia.

Studia w Liège, a później w Akademie voor Beeldende Kunsten w Brukseli, otworzyły przed nią świat rzeźby monumentalnej – tej, która istnieje nie tylko w galeriach, ale w przestrzeni publicznej, między ludźmi, w rytmie ich codzienności. To był moment przełomowy. Zrozumiała, że rzeźba może być formą rozmowy z rzeczywistością – i że właśnie ten dialog stanie się treścią jej życia.

Halina Jakubowska pracuje z kamieniem, stalą i brązem. Jej ulubiony materiał – belgijski *pierre bleue*, błękitny wapień o subtelnych odcieniach szarości – stał się znakiem rozpoznawczym jej stylu. *„Ten kamień jest jak człowiek – ma warstwy, nieoczywistość, wewnętrzne światło. Każdy blok jest inny. Trzeba go poznać, żeby go zrozumieć."*

W jej pracach surowość łączy się z harmonią, a ciężar z lekkością. Rzeźby Jakubowskiej zapraszają do dotyku, do zatrzymania się, do wsłuchania w ich milczenie. Często zestawia powierzchnie gładkie, wypolerowane na połysk, z fragmentami chropowatymi, niedokończonymi – jakby chciała przypomnieć, że piękno rodzi się z kontrastu, z napięcia między porządkiem a chaosem, między tym, co widzialne, a tym, co ukryte.

Nie wierzy w mit „silnego rzeźbiarza". *„To nie siła fizyczna decyduje. Najważniejsze są cierpliwość, wiedza i miłość. Rzeźba wymaga pokory. Każdy kamień uczy mnie czegoś nowego – o sobie i o mnie."*

Proces twórczy staje się dla niej formą medytacji – rytuałem skupienia i obecności. Cisza pracowni, rytmiczny dźwięk młotka, zapach kamienia – wszystko to tworzy przestrzeń, w której materia zaczyna oddychać. *„Kiedy rzeźbię, czuję się częścią czegoś większego – natury, czasu, świata. Kamień był tu długo przede mną i będzie długo po mnie. Moja rola jest chwilowa, ale znacząca."*

Halina Jakubowska należy do tych nielicznych artystów, którzy potrafią wprowadzić rzeźbę w tkankę miejską tak, by nie dominowała, lecz współistniała. Jej dzieła stapiają się z krajobrazem, stając się punktem spo-

tkania, odpoczynku, a czasem – milczącym świadkiem ludzkich historii.

Najbardziej znaną realizacją jest fontanna na Place Saint-Lambert w Liège, nagrodzona w konkursie w 1996 roku. Trzy potężne granitowe segmenty, po których spływała woda, tworzyły kompozycję pełną spokoju i równowagi. Mieszkańcy przychodzili tam spotkać się, usiąść, napić kawy, spędzić chwilę w cieniu – fontanna stała się częścią ich codzienności. Kiedy została zdemontowana w czasie przebudowy placu, mieszkańcy Liège rozpoczęli petycję o jej przywrócenie i jest nadzieja, że wkrótce tu wróci.

W 2008 roku artystka zdobyła pierwszą nagrodę za projekt fontanny „La Porte" w Soumagne-Micheroux – monumentalnej bramy z kamienia i stali, symbolizującej przejście, otwarcie, przemianę. Woda, przepływająca między blokami, symbolizuje czas, który nigdy się nie zatrzymuje.

W jej dorobku znajdują się również: Mémorial Jean Gol w Chaudfontaine – cztery stelaże z błękitnego granitu, „Ławka dla zakochanych" w Parku Elisabeth w Brukseli, fontanna na Place Saint-Severain w Huy, oraz mur przy dawnej siedzibie Stałego Przedstawicielstwa RP przy UE.

Każde z tych dzieł jest inne, ale wszystkie łączy jedno – szacunek dla przestrzeni i człowieka, który w niej przebywa.

Choć od ponad pół wieku mieszka w Belgii, nigdy nie zapomniała o Polsce. W 2005 roku z własnej inicjatywy ufundowała Pomnik polskich żołnierzy poległych w II wojnie światowej – gest wdzięczności wobec historii, która towarzyszyła jej od dzieciństwa. Jest aktywną uczestniczką życia Polonii belgijskiej, wspiera inicjatywy kulturalne, przekazuje swoje prace na aukcje charytatywne (m.in. dla ofiar powodzi w Polsce w 2010 roku). Jej dom w Liège to miejsce otwarte – przestrzeń spotkań artystów, muzyków, ludzi kultury, zawsze pełna światła, rozmów i śmiechu.

Za działalność artystyczną i społeczną została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi (2015) oraz tytułem „Polak Roku w Belgii" w dziedzinie Kultury i Nauki (2011).

W życiu Haliny Jakubowskiej równie ważne miejsce co rzeźba zajmuje miłość. Od ponad trzydziestu lat dzieli ją z ukochanym Jaculkiem, mieszkającym w Niemczech. Dla wielu taka relacja mogłaby być trudna, lecz oni znaleźli własny rytm – wspólne modus vivendi oparte na wzajemnym zaufaniu i wolności. *„Nie trzeba być razem codziennie, żeby być razem naprawdę"* – mówi. – *„Najważniejsze to czuć, że ktoś myśli o tobie dobrze, że ci kibicuje, że cię rozumie. Reszta to logistyka."* Latem spotykają się w Polsce – w uroczej, skromnej posiadłości położonej wśród czystej, nieskażonej natury. To miejsce, w którym artystka odnajduje spokój i inspirację. *„To miejsce ma w sobie światło, które przenoszę potem do moich rzeźb. Tam wszystko oddycha. Kamienie, drzewa, my."*

Raczej niska, drobna, o pogodnym spojrzeniu i łagodnym uśmiechu – patrząc na nią, trudno uwierzyć, że spod jej rąk wychodzą tak monumentalne prace. W jej obecności czuje się ciepło, uważność i naturalną radość życia. Jest wierna w przyjaźniach, hojna w gestach, ciekawa ludzi i świata.

Halina Jakubowska to artystka, która łączy przeciwieństwa – Polskę i Belgię, tradycję i nowoczesność, twardość materii i poezję formy. Jej rzeźby, choć wykonane z ciężkich materiałów, niosą w sobie coś niematerialnego – spokój, ciszę, światło. *„Rzeźba jest jak rozmowa z czasem"* – mówi. – *„Nie krzyczy, nie narzuca się. Trwa."*

Jej prace uczą, że trwałość nie musi oznaczać sztywności, a siła może być delikatna. Są świadectwem tego, że sztuka – jak miłość – nie zna granic. W każdym kamieniu, który dotknęła, zostawiła cząstkę siebie. I w każdym z nich, jak w człowieku, drzemie światło, które dzięki niej znalazło drogę na powierzchnię. ■

Koncert „Wielkopolanie – Wielkopolanom” – wielkie odkrycie „Mirra Rosz”

Andrzej Borucki

Cycero, rzymski senator, będący wielkim myślicielem, filozofem, pisarzem, erudytą i oratorem za czasów końca republiki rzymskiej, już kilkadziesiąt lat przed naszą erą, był głęboko przekonany, że „Sztuka jest filozofią życia” („Ars est philosophia vitae”). Od tego czasu minęło już ponad dwa tysiące lat i wbrew pozorom w dzisiejszych czasach dla wielu osób, słowa te są nadal aktualne.

Pomimo dzisiejszej obrazkowej i TikTok-owej cywilizacji sztuka, w tym wypadku sztuka muzyczna przez duże „S”, być może nie dla wszystkich jest filozofią życia, ale wielu przynosi nadal autentyczne przeżycia duchowe i estetyczne, a co ogromnie cieszy, to wielu młodym ludziom. I tu nawiązuję do fascynującego koncertu, który miał miejsce 7 listopada 2025 roku. I to nie byle gdzie, bo w Teatrze Wielkim im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu. Już dawno opera ta nie mieściła tak wielu słuchaczy. Wszystkie miejsca, włącznie z balkonami, wypełnione były po same brzegi. Część szczęśliwych posiadaczy nienumerowanych wejściówek (a koncert był inicjatywą bez biletów), miała spory problem z dostaniem się na widownię. Pozostała część musiała podpierać ściany i wysłuchać koncertu stojąc.

Mirra Rosz czyli Dominika Narożna fot. Władysław Gardasz

Cóż to był za koncert?!

Otóż był to koncert uświetniający obchody 35-lecia Unii Wielkopolan i był wyjątkowy. Oczywiste jest to, że wiele koncertów z wybitnymi artystami jest wyjątkowych, ale ten miał szczególne znaczenie dla poznańskich słuchaczy, gdyż odbył się pod hasłem „Wielkopolanie- Wielkopolanom”, co miało szczególny wydźwięk w kontekście zbliżającej się rocznicy wybuchu Powstania Wielkopolskiego. Jedynego, które w historii polskich powstań się udało.

Koncert był również wyjątkowy dlatego, że wyróżniał się niezwykle wysokim poziomem artystycznym. Co ciekawe, gdy rozejrzałem się po widowni i balkonach, ujrzałem większość uśmiechniętych twarzy. Przede wszystkim młodych ludzi. Co ogromnie mnie ucieszyło. Tak! Tych samych młodych ludzi od smartfonów, i-Podów i innych współczesnych ogłupiaczy. Notabene, kilka lat temu

Wykonawcy koncertu fot. Władysław Gardasz

byłem na kilkugodzinnym przedstawieniu „Pierścienia Nibelunga" Richarda Wagnera w Filharmonii Berlińskiej. Większość słuchaczy, również młodych osób, kilka minut przed przedstawieniem otwierało małe, podręczne partytury sprawdzając później zgodność wykonywanych partii wokalnych z oryginałem. I nie chodzi mi tu partytury, ale o to, że ich zaangażowanie w spektakl było niesłychane. Wręcz zadziwiające. Zazdrościłem im. Myślałem wtedy o tym, jak bardzo byłbym uradowany gdyby polska młodzież i nie tylko, przejawiała takie zaangażowanie na koncertach muzycznych z „wyższej" półki. Myliłem się.

Na poznańskim koncercie, o którym piszę, słuchacze nie mieli oczywiście partytur, gdyż muzyka była zgoła odmienna, a repertuar owiany był lekką tajemnicą. Dlaczego? Otóż dlatego, że koncert ten był niespodzianką przygotowaną i wykonaną przez mało znaną (dotąd) poznańską grupę artystyczną „Mirra Rosz".

Po tym koncercie wróżę artystom z tej grupy wielką karierę. Czego im życzę. Znamienne było to, że emocjonujące oczekiwania słuchaczy, zaangażowanie i napięcie artystyczne było tożsame z tym, które przeżyłem w Berlińskiej Filharmonii. Publiczność oczywiście nie zawiodła się, a ja słuchając koncertu i obserwując jej reakcje, przestałem już zazdrościć młodym ludziom z Berlina.

Koncert przeszedł najśmielsze oczekiwania...

Blisko półtorej godziny wspaniałej zabawy, muzyki i niesamowitych artystycznych przeżyć. Wszyscy byli zachwyceni i większość słuchaczy dopiero teraz odkryła tak wspaniałych artystów działających poza oficjalnym, nieco skostniałem nurtem działalności artystycznej w Poznaniu. To był świeży oddech sztuki, którego słuchacze nagradzali niezwykle gromkimi brawami i niekłamaną radością.

Główną wokalistką oraz inspiratorką tego koncertu, obdarzoną wspaniałym głosem, a także niezwykłym wyczuciem scenicznym i artystycznym, była Dominika Narożna. I tu ciekawostka. Jest ona profesorem Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa. Jest również członkinią Zarządu Fundacji UAM. W niezwykły sposób łączy swoją działalność naukową z pasją muzyczno-wokalną odziedziczoną po swojej mamie, niegdyś wspaniałej, poznańskiej wokalistce znanej pod pseudonimem „Mirra Rosz".

Dominika Narożna nie jest profesjonalną piosenkarką, ale posiada umiejętności, jakich – odnoszę takie nieodparte wrażenie – brakuje wielu absolwentom wydziałów wokalnych renomowanych uczelni muzycznych, którym przydałaby się jej pasja, odejście od skostniałych manier, umiejętności interpretacji i odczytanie, nawet intuicyjnie, właściwego warsztatu sztuki wokalnej, emisji, barwy, artykulacji czy czucia gestu, mimiki i ruchu scenicznego. Umiejętności właśnie takich, jakie posiada Dominika Narożna.

Artystka wykonała wiele piosenek z wydanej niedawno płyty „Mirra Rosz", do których teksty napisali: Dominik Górny, Piotr Lissewski, Dominika Narożna oraz Piotr Wiza. Muzykę do tych utworów napisał Piotr Wiza, o którym wspomnę trochę później.

Dominika Narożna wykonała nie tylko utwory z płyty „Mirra Rosz". W jej repertuarze znalazł się również słynny duet „Tell Him", który wykonała razem z Asią Dratwą – poznańską wokalistką, urodzoną, wychowaną i wykształconą muzycznie w Kanadzie. Asia niedawno postanowiła zamieszkać w Polsce, gdzie urodzili się jej rodzice (tata w Poznaniu a mama w Krakowie) i uzyskała polskie obywatelstwo. Brawo! Utwór „Tell Him" wykonały brawurowo, przypominając niegdysiejsze wykonanie tej piosenki przez Barbrę Streisand i nomen omen kanadyjkę – Céline Dion.

Brawom nie było końca...

Punktem kulminacyjnym wieczoru był jednak moment, w którym Dominika Narożna zaintonowała słynny utwór „My Way" i w połowie występu wprowadziła na scenę gościa specjalnego – Piotra Kuźniaka – słynnego polskiego wokalistę, aranżera i multiinstrumentalistę, byłego członka i solistę „Poznańskich Słowików", a od 1993 roku wokalistę znanego polskiego zespołu „Trubadurzy". Piotr Kuźniak dokończył śpiewać utwór „My Way", wzbudzając swoim kunsztem ogromny entuzjazm publiczności. Później nastąpiła podniosła chwila, w której artysta ten został odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" przyznanym przez Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Piotr Kuźniak fot. Władysław Gardasz

Rangi koncertowi nadał również udział grupy filharmoników poznańskich pod batutą profesora Akademii Muzycznej im. I.J. Paderewskiego w Poznaniu, Mariusza Dereweckiego, kierującego grupą instrumentów strunowych i dętych nadających szlachetnego brzmienia wszystkim utworom. Osobą spajającą perfekcyjną klamrą koncert był konferansjer – Rafał Piechota – były członek znanego kabaretu „Afera". Dzięki niezwykłej inteligencji i humorowi budził burze oklasków, śmiechu i doskonałej zabawy.

I na koniec, jedna z najważniejszych osób – Piotr Wiza. Zasiadając za fortepianem, jednocześnie kierujący orkiestrą, co jest niezwykle rzadkie przy podobnych składach, starał się dopilnować jak na takie warunki instrumentacji i skład, bardzo wysoki poziom. Mimo drobnych wpadek sens takiej formuły koncertu – jeśli chodzi o decyzję i ryzyko podjęte przez Piotra Wizę i jego orkiestrę – „chapeau bas".

Bez Piotra Wizy to niezwykłe wydarzenie artystyczne nie miałoby miejsca i nie przyjęłoby takiej bezkompromisowej formy, bawiącej się od stylizacji godnych podziwu nowojorskiej socjety nocnych klubów jazzowych, aż po przerysowane celowo aranżacje swingowe, dotykające złotej ery Broadway'u lub sztampowych, ociekających filmowym sentymentalizmem piosenek Franka Sinatry czy Barbry Streisand. Podczas koncertu nie zabrakło piosenek pop czy rockowej „swady" rodem z repertuaru brytyjskiej grupy ELO, do której inspiracji Piotr Wiza od zawsze się przyznawał. Jednak dał również pokaz i wyraz uniwersalnym wartościom wybranych stylistyk w ten sposób, by każdy konserwatywny słuchacz obeznany w tonalnej przestrzeni, mógł odetchnąć z ulgą, że nie ma tu miejsca na disco polo, rap czy heavy metal… Aczkolwiek grzane na przesterze solówki gitary elektrycznej (Jakub Frydrych) pojawiały się z równą rutyną i swobodą jak i zabawne, wirtuozerskie, godne Grappellego partie jazzowe skrzypiec (Mariusz Derewecki).

Słowa Cycerona, że „Sztuka jest filozofią życia" nawet po dwóch tysiącach lat nie straciły nic na swojej aktualności. Sztuka, a przede wszystkim muzyka, są wszechobecne we współczesnym świecie, stając się często filozofią naszego życia. Słuchamy jej codziennie i nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak wielki wpływ ma na nas. Na nasze radości, smutki i wielkie uniesienia artystyczne, czego przykładem był fantastyczny koncert grupy artystycznej „Mirra Rosz". ■

„Duży” i „Mały Holender” – czyli co ma pływać, nie zatonie

Andrzej Skibniewski

Przystań harcerska „Barka” w Opolu – uprzednio „Duży Holender” o nazwie „Radgost”.
(Fot. Archiwum 41 HDŻ).

Po II Wojnie Światowej, płynąca kiedyś przez środek Niemiec rzeka Odra stała się naturalną granicą Polski. W odbudowie po wojennych zniszczeniach ważną rolę miał odgrywać transport po wodach śródlądowych – w szczególności po łączącej Śląsk ze Szczecinem Odrze. W 1947 roku Centrala Handlu Zagranicznego „Polimex” podpisała w imieniu Polskiej Żeglugi na Odrze kontrakt na zbudowanie dwudziestu dwóch holowników trasowych. Umowa opiewała na dostawę dziesięciu dużych, pięćsetkonnych i dwunastu mniejszych, z silnikami parowymi o mocy dwieście pięćdziesiąt koni mechanicznych. Miały one kosztować aż 30 milionów florenów!. Dokumentację techniczną opracowano w Holandii z uwzględnieniem wymagań przedstawionych przez stronę polską. Dla całej serii holowników zaplanowano nazwy pochodzące od słowiańskich bóstw pogańskich. Pierwszy z nich otrzymał nazwę „JAROWID”[1]. Do holowników o mocy pięciuset koni mechanicznych potocznie przylgnęła nazwa „Duże Holendry”. Były one przeznaczone do transportu rudy żelaza i węgla na trasie Szczecin – Wrocław.

„Duży Holender” o nazwie „RADGOST”[2] został zbudowany w 1949 roku przez stocznię Haarlemsche Scheepsbouw Maatschappij N.V. w Haarlem. Po przekazaniu go Polsce, przez dwadzieścia lat pełnił służbę pływając po Odrze i Kanale Gliwickim. W połowie lat siedemdziesiątych, już bardzo wyeksploatowany holownik służył jako zaplecze noclegowe (tak zwana „koszarka”) dla pracowników śluzy remontowej w Januszkowicach. W roku 1978 holownikiem zainteresowała się druhna Marysia Markuszewska (drużynowa powstałej w 1965 roku i działającej do dzisiaj 41 Harcerskiej Drużyny Żeglarskiej). Poszukiwała ona wówczas obiektu, który mógłby służyć jako stała przystań dla żeglarzy z Hufca Opole – Miasto. Ostatecznie „RADGOST” stanął na kotwicy w Kanale Ulgi w Opolu w roku 1979.

Małżeństwo Marysia i Włodek Markuszewscy zagospodarowali „Barkę” jako ośrodek wodny. Odbywały się w nim zbiórki drużyny, spotkania, biwaki. Ich córka Ania niemalże od urodzenia biegała po stalowym pokładzie, przyprawiając rodziców o palpitacje serca.

Czas szybko mijał i „Barka” stanowiła już stały, często odwiedzany i będący swoistą atrakcją turystyczną punkt na mapie Opola. Któregoś dnia dowiedziałem się, że drużyna planuje wyjazd do Holandii na *Nationaal Waterkamp*, potocznie zwanym NaWaKa. Był to maj 1997 roku.

W Holandii mieszkałem już od piętnastu lat i jak sądziłem, znałem ją bardzo dobrze. Jako tzw. *Sales Engineer* często byłem w trasie, zwiedzając przy okazji tereny przemysłowe i ciekawe zakamarki. Od czasu do czasu żeglowałem.

Na planowany przyjazd opolskich harcerzy cieszyłem się bardzo. Do wyjazdu do Holandii było jeszcze sporo czasu – NaWaKa zaplanowana była na koniec lipca. Włodek miał przejść jeszcze w maju jakiś zabieg kardiologiczny. Słuchałem optymistycznych komentarzy:

– jest to naprawdę bardzo prosta sprawa – w dzisiejszych czasach na drugi, trzeci dzień po zabiegu wychodzi się ze szpitala do domu. Klinika w Zabrzu ma wspaniałych fachowców, znanych przecież w całym świecie. Poza tym te dzisiejsze technologie… Proste, nawet obejdzie się bez ogólnego znieczulenia. Dostanie tylko miejscowe, jeden zastrzyk. Włodek jest jeszcze młody, silny. Niedawno skończył dopiero pięćdziesiąt lat. Cała operacja potrwa może *pół godziny* i będzie po wszystkim.

W połowie czerwca zatelefonowałem do Opola. Do wyjazdu pozostało jeszcze wprawdzie kilka tygodni, ale trzeba było już porozmawiać o szczegółach.

– Proszę…

To mama Marysi. Pytam, jak się czuje Włodek? Chciałbym z nim porozmawiać. Trzeba byłoby ustalić już to i owo.

– Włodzia już nie ma…

W słuchawce zapadła cisza.

– Umarł dwudziestego pierwszego… Halo? Marysi nie ma w domu. Jest na Barce. Powiem, że dzwoniłeś.

– Wyrazy współczucia…

Nie wiem, co jeszcze mam powiedzieć. Tego się nie spodziewałem, chociaż może powinienem. Była to zaiste jakaś seria przyjaciół i bardzo bliskich mi osób, które w tym czasie niespodziewanie odchodziły na „wieczną wachtę”.

Później już nie rozmawialiśmy. Do wyjazdu było jeszcze sporo czasu, nie chciałem niczego forsować. Nie minął jeszcze rok od dnia, w którym pochowaliśmy moją siostrę i wiedziałem, że nie był to dobry moment na podejmowanie konkretnych decyzji.

Czerwiec minął drużynie na przygot owaniach do wyjazdu. Pustkę trzeba było wypełnić zajęciami, które stanowiły swoistą terapię.

Gdy do planowanego wyjazdu pozostały jeszcze dwa tygodnie, owoce przygotowań

[1] Poprawnie: Jarowit lub Jerowit – połabski bóg wojny, czczony za jego moc i siłę.
[2] Znany także jako Redigost, Redigast, Riedegost, Radegast lub Radogost. Uważa się także, że Radgost to drugie imię połabskiego Swarożyca, boga słonecznego.

Akcje zbierania pieniędzy dla powodzian z Polski. Napis głosi: Wij zingen voor Polen. Geef! (Śpiewamy dla Polaków. Daj!). (Fot A. Skibniewski).

całkowicie zniweczyła tak zwana „powódź tysiąclecia”[3]. Fala kulminacyjna przeszła przez Opole dziesiątego lipca 1997 roku, zabierając ze sobą prawie cały dobytek drużyny, łącznie z jej holenderską, pływającą przystanią.

Niesiona wartkim nurtem Barka cudem uniknęła bombardowania tylko dlatego, że wyrzucona zatrzymała się na płyciźnie, nie zagrażając mostom leżącym na północ od Opola. Odpowiednie służby czekały już na właściwy moment, aby zniwelować zagrożenie, korzystając z rzadkiej sposobności zatopienia jednostki pływającej. Dotychczas, w czasach powojennych, *żaden poligon takiej szansy nie stworzył.*

Przyjechałem do Opola. Decyzja zapadła: jedziemy do Roermond. Będzie to także jakaś nagroda dla tych, którzy brali udział w przygotowaniach do wyjazdu. Wszystko, co mogło się najgorszego wydarzyć, mamy już za sobą, Teraz może być już tylko lepiej. Zabierzemy kilka zdjęć, pożyczone namioty i suche koce.

Do Roermond przyjechaliśmy dwoma samochodami – dostawczym, trochę już zabytkowym Fordem drużyny i moim służbowym, przestronnym Citroenem. Na miejsce dotarliśmy późnym wieczorem.

NaWaKa[4] była, jak zawsze, wielkim wydarzeniem. W Jamboree wzięło udział ponad sześć tysięcy uczestników z całego świata. Burmistrz Roermond Herman Kaiser[5] przyjął nas bardzo uroczyście. Jego małżonka, Miep Kaiser odegrała też ważną rolę, ale o tym za chwilę.

W obozie natychmiast rozeszła się wieść o tym, że jedną z grup stanowią powodzianie z Polski. Pokazaliśmy zdjęcia… Uczestnicy obozu postanowili pomóc i zebrać tyle *środków,* ile będzie tylko możliwe, aby polska drużyna nie wyjechała z pustymi *rękami. Datki zbierano przez tydzień – jedni za 50 centów czyścili buty, inni śpiewali holenderskie* i światowe przeboje za „co łaska”. Pomysłów było wiele.

Czas mijał szybko. Brak smartfonów i laptopów, których jeszcze nie wynaleziono oraz piękna pogoda były przyczyną ożywionych kontaktów towarzyskich, angielskich konwersacji, snucia planów na najbliższą przyszłość.

Realia popowodziowe były niemożliwe do przewidzenia, ale na razie staraliśmy się o nich nie myśleć i trudnych tematów nie poruszać. Wieczorem odbywały się dyskoteki, w jednym z namiotów coś naprawiano, do późnych godzin nocnych widać było światło łuku spawalniczego.

Nadszedł pożegnalny dzień. Dowiedzieliśmy się, że jakby trochę z nudów, nauczyciele, którym nieobce były prace spawalnicze, zbudowali kadłub bardzo popularnej wśród holenderskich skautów wodnych łódki *Lelievlet*[6]. Pomalowany na biało z czerwonym dnem otrzymał nazwę „Roermond”. Jego matką chrzestną została małżonka burmistrza Roermond, wspomniana wcześniej Miep Keiser.

Po zwodowaniu pyta nas ktoś z kadry obozowej:

– Czy chcecie popłynąć z nami w dziewiczy rejs? Tylko cztery osoby...

Miep Keiser chrzci wybudowaną podczas obozu NaWaKa łódkę typu Lelievlet.
(Fot. A. Skibniewski)

– W załodze może być tylko sześć osób.

Przetłumaczyłem. Dziewczęta wsiadły do łódki. Holenderska bandera podnosi się powoli w górę.

Widzę, jak sprawnie oddają cumy. Świeży wiatr odpycha jacht na środek jeziora. Jest uroczyście, profesjonalnie, zgodnie z wymogami etykiety jachtowej. Robię zdjęcia…

Po chwili s/y „Roermond” wraca do brzegu. Zauważam, że czerwono-biało-niebieska flaga zostaje opuszczona do połowy masztu. Będą salutować[7]… Zaproszeni goście oraz VIP-y podziwiają manewry. Licz-

[3] Powódź tysiąclecia w 1997 roku została spowodowana przez dwie następujące po sobie fale obfitych opadów deszczu. Na terenie Polski zginęło 56 osób, a szkody materialne oszacowano na około 3,5 miliarda dolarów.

[4] Nazwa NaWaKa pochodzi od Nationaal Waterkamp. Jest to letni, tygodniowy obóz organizowany co cztery lata przez żeglarzy należących do Scouting Nederland. Biorą w tysiące uczestników i setki drużyn z całego świata. Nomen omen: NaWaKa w Roermond w 1997 roku zorganizowana była pod hasłem „Water leeft” (Woda żyje”).

[5] W 1986 roku został burmistrzem Margraten (od 2011 roku jest to Gemeente Eijsden-Margraten). Urodzony w 1954 roku Herman Keiser przeszedł do historii jako najmłodszy burmistrz w Niderlandach.

[6] Lelievlet jest najpopularniejszą stalową łódką żeglarzy zrzeszonych w Scouting Nederland. Posiada sześć miejsc dla załogi, można na niej żeglować i wiosłować. Powierzchnia żagli to ok. 12 metrów kwadratowych.

[7] Oddawanie honorów banderą (tzw. „ukłon banderą”) na jachcie polega na jej opuszczeniu do połowy masztu i ponownym jej podniesieniu. Honory oddaje się jednostkom Marynarki Wojennej, innym jachtom a także mijając szczególny miejsca, na przykład Westerplatte.

c.d. na str. 16 >>>

>>> c.d. ze str. 15

Lelievlet z podniesioną polską banderą podczas NaWaKa 1997. (Fot. A. Skibniewski).

Prace remontowe przy „Barce" w Stoczni w Kędzierzynie Koźlu pod koniec 2025 roku. (Fot. M. Łabudziński).

nie zgromadzeni przedstawiciele wszelakich mediów tłoczą się przy nabrzeżu.

Okazuje się, że to nie był ukłon banderą. Trzykolorową flagę holenderską zastąpiła biało-czerwona. Bandera holenderska powiewa teraz na rufie łódki.

– To dla was… Od nas. *Een cadeautje*. Stopy wody pod kilem! *Veel succes!*

Próbuję znaleźć dla siebie jakieś spokojne, wolne od tłumu miejsce. Bezskutecznie. Młody dziennikarz podbiega do mnie z mikrofonem.

– Widzę, że masz łzy w oczach… Powiedz naszym słuchaczom, co teraz czujesz?

Nie pamiętam już, co powiedziałem. Bardzo starałem się powiedzieć coś sensownego, ale nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. Cokolwiek powiedziałem, było zupełnie nieadekwatne do sytuacji.

***

Po obozie NaWaKa, załadowani po brzegi kamizelkami ratunkowymi, żaglami, linami i osprzętem wróciliśmy do domów. Na granicach – holenderskiej, niemieckiej i polskiej poszło nadzwyczaj sprawnie. Było to możliwe dzięki dobrej dokumentacji oraz przychylności celników, zszokowanych skutkami powodzi. Po najcenniejszy prezent – łódkę „Roermond" przyjechaliśmy do Holandii po kilku miesiącach.

Okazało się, że „Barka" ocalała i po powodzi wróciła na swoje miejsce. Obok niej przycumował maleńki[8], lecz solidny, stalowy *Lelievlet*. Wyglądali jak mama z noworodkiem. Przywrócenie przystani do stanu sprzed powodzi zajęło harcerzom, ich rodzicom i wielu sponsorom kilka następnych lat.

Dzisiaj „Barka" ma już status szacownego obiektu zabytkowego. Wiek ma jednak, jak wiemy, swoje prawa. Kilka miesięcy temu, z przeciekającym jak sito dnem została odholowana do stoczni, gdzie czeka ją remont. Potrzebny budżet oceniono precyzyjnie, skromnie, ale bez kompleksów. Przypomina on ten znany już z końca lat czterdziestych ubiegłego wieku. Za około 1.200.000 PLN[9] dno będzie jak nowe i będzie można wybrać się w długą podróż, nawet i starą trasą z Kędzierzyna przez Opole, Wrocław aż do Szczecina. Kwota wydaje się zawrotna jak dla drużyny harcerskiej. Ale zebrano już jej ponad połowę[10] i praca w stoczni wre pełną parą. W przyszłym roku – jestem o tym przekonany – „Barka" powróci znowu na swoje dawne miejsce. Obok niej, jak u boku mamy zacumuje „Mały Holender" – „*Lelievlet*" wybodowany w Roermond w pamiętnym, 1997 roku. ■

[8] „Barka" ma długość niecałe 56 metrów, zaś Lelievlet dokładnie jedną dziesiątą tej długości.

[9] W roku 1948 koszt remontu wynosiłby zaledwie około 47 000 guldenów.

[10] Dzięki rozmaitym akcjom, dotacjom i zbiórkom, m.in. https://zrzutka.pl/48nzmh oraz https://www.facebook.com/groups/barkatonieaukcje/.

Życzę wszystkim Wielbicielom, Sympatykom, Czytelnikom oraz Redakcji „Sceny Polskiej"
ZDROWYCH i POGODNYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA.
Niech Nowy Rok przyniesie nam tyle dobra, ile w trudnych dla nas chwilach doświadczyliśmy w przeszłości.
Prettige Kerstdagen!

Scenka polska

W pozycji bociana

Andrzej Niczyperowicz

Tylko dziesięć procent ludzi w Polsce jeszcze pisze. Większość posługuje się w internecie wyłącznie emotikonami. Czyta ze zrozumieniem – i to wyłącznie do dwóch, trzech zdań – 30 procent. Martwią mnie te badania krakowskich uczonych. Cóż, trzeba pisać krótko albo też przejść na emotikony – jak przed wiekami na ścianach pieczar i jaskiń.

W Japonii „Tsundoku", to osoba, która kupuje książki, ale nigdy ich nie czyta. Kupuje, bo tak wypada. W Polsce książek nie wypada kupować. W domu trzyma się tylko dwie pozycje: „Książeczkę czekową" w sejfie lub pod bielizną w szafie oraz „Pana Tadeusza". W lodówce.

Do rabbiego Hillela, współczesnego Chrystusowi, zwrócił się rzymski legionista z żądaniem, aby mu wyłożył zasady wiary Mojżeszowej tak zwięźle, aby mógł tego wysłuchać stojąc na jednej nodze. Rabbi nie sprostał prośbie żołdaka i w związku z tym błyskawicznie udał się na łono Abrahama.

Mając na uwadze ten przypadek, od dziesięcioleci pisałem tylko formy krótkie, możliwe do przeczytania nawet w pozycji bociana.

POWIEDZIAŁ DZIADEK W dawnych czasach trzeba było pokonać potwora, aby się ożenić z dziewicą. Teraz z dziewicami cienko, za to wielu żeni się z potworami.

PORADY BUDOWLANE Kto pod kim dołki kopie – powinien mieć dobrą łopatę.

STACHU – SĄDZI Jeżeli czujesz się świetnie, nie martw się – to minie.

BLONDYN PODRÓŻNY – Przywiozłeś te wymarzone buty z krokodyla? – Nie. Wyobraź sobie, że gdy już go ogłuszyłem i odwróciłem na grzbiet, okazało się, że był bez butów!

SZLACHETNE HOBBY

Kazimierz Nowak ze Szczebrzeszyna w wolnych chwilach zajmuje się konstruowaniem miniaturowych stateczków w butelkach. Wykonał już ponad tysiąc modeli.

– Każdą butelkę należy dokładnie osuszyć – powiada niecodzienny hobbista – robię to sam, w tajemnicy przed żoną; potem złożenie żaglowca jest już bardzo proste.

SŁYNNE POWIEDZENIA – To co w końcu chcecie na tym pieprzonym suficie? Michał Anioł

OBYCZAJE NARODOWE

W Fairbanks (USA) nie wolno częstować białych myszy wódką.

ZUPEŁNIE NA PEWNO. Kurz nie rzuca się aż tak bardzo w oczy, jeśli jest wszędzie.

ONOMASTYKA STOSOWANA. Najwyższą decyzją sikorka bogatka została od dziś sikorką ubogą, zaś Saską Kępę przemianowano na Beatę Kępę.

POWIEDZIAŁ DALTONISTA

Życie jest jak tęcza – raz białe, raz czarne.

W ŚWIECIE MODY. W tym sezonie znów niemodne będą duże biusty. Wykluczone są szerokie biodra. W dalszym ciągu modne będą buty nr 38. Nadal polecany jest wzrost od 180 cm.

TRZY PO TRZY. Cezar. Veni, Vidi, Vici. **Szoping.** Przybyłam. Zobaczyłam. Kupiłam. **Wartownik.** Miał stać. Leżał. Teraz siedzi.

OBSERWACJE SZPITALNE. Stachu zaniepokoił się, kiedy zauważył, że lekarz przymierza jego buty...

LIMERYK BALUSTRADOWY

Pewien jegomość z Radomska
Chodził po balustradzie i noga się mu omskła.
Spadł na poręcz okrakiem;
Żyje – lecz z poważnym brakiem,
Czym żonę ogromnie zatroskał.

ZUPEŁNIE NA PEWNO. Druga kolejka zawsze porusza się szybciej. Ta obserwacja pozostaje w mocy po zmianie kolejki.

ROZMÓWKI POLSKIE

– Zbieraj się Baśka, idziemy do teatru. – Wielkiego? – Nie przeżywaj tak, zmieścisz się...

GORĄCY SMS. Chcę pójść z tobą do łóżka. Spędzić w rozgrzanej pościeli kilka gorących dni i nocy. Rozpalę cię. Będziesz się pocić i jęczeć. Oczekuj mnie. Twoja grypa.

I NA KONIEC

– Nie jestem dziś w formie – powiedziała treść. ■

Zgodne Święta

Jerzy Skoczylas

Tradycję tę i zwyczaj od wieków wszyscy znamy,
że gdy nadchodzą Święta rodzinę zapraszamy.
Do tego i znajomych wypada dokooptować,
by wspólnie w gronie bliskich cieszyć się i świętować.
I zbiera się na obiad lub siada do kolacji
od lat to samo grono wzajemnej adoracji.
Te same ciągle twarze, te same wciąż kawały,
te same historyjki, toasty, dyrdymały.
I zestaw stałych potraw niezmiennie jak co roku
i piernik i nalewka z malinowego soku.
I tak jak było kiedyś tak będzie za lat osiem
i kisi się ferajna we własnym szarym sosie.
A może by tak wreszcie otrząsnąć się, obudzić
i w Święta raz zaprosić zupełnie innych ludzi?
Nie takich co nam kadzą, lubią nas i kochają,
lecz tych co na nas psioczą i tyłek obrabiają.
Takich zaprosić trzeba, takich przytulić ludzi,
lecz żeby tak postąpić trzeba by się natrudzić,
przełamać opór serca, poskromić własne ego
i dostrzec w ludzkiej twarzy nie diabła lecz bliźniego.
Powiedzieć dobre słowo, poklepać po ramieniu,
by milej się zrobiło na ciele i sumieniu.
I może by się wówczas zbratali powaśnieni
i kawałeczek nieba pojawił się na ziemi?
Czy mógłby taki klimat przyjąć się i utrzymać?
Guzik! Bo by nas z miejsca wyrzekła się rodzina
i pozostali którzy nie byli zaproszeni
i byłyby pretensje i anse nie z tej ziemi.
Więc by mieć święty spokój niczego nie zmieniajmy
i stary zestaw gości na Święta zapraszajmy.
Niech będzie tak jak było, a my rozanieleni
przy stole kombinujmy, czy można by coś zmienić?

Święta, hej święta!!!

Marek Grądzki

No i jak co roku następuje ten radosny czas Świąt Bożego Narodzenia. Najbardziej ci on radosny dla dorosłych, bo nie muszą gnać do roboty, ale przede wszystkim dla pociech, które z niecierpliwością oczekują na nadejście pierwszej gwiazdki by się dorwać do leżących pod choinką paczek z prezentami. Przede wszystkim jednak paluszki zacierają handlowcy chcąc się dorwać do naszych portfeli. Ten czas to zaćma na oczach, zwłaszcza u tych, którzy operują płatniczym plastikiem bo rachunek przychodzi z opóźnieniem wraz z saldem.

Ja jednak tym razem nie o tym a o paszy, którą duże sieci chcą nas zasypać byśmy z badziewia, które wywalają na lady upichcili nasze świąteczne potrawy. Powtarzam to wielokrotnie – tym jesteśmy co jemy. Dlatego też Szanowny Czytelniku nie bądź leniwy i po pierwsze rusz na łowy, skup się na prawdziwych, małych producentach żywności ze zweryfikowanych źródeł, a nabyte surowce przerób we własnej kuchni. Ryba, niekoniecznie karp, jedź do rybaka i kup od niego. Na pewno w swojej okolicy jakiegoś znajdziesz. Jakby Ci się udało suma, będziesz miał na stole prawdziwe delicje. My w Liniu w Ogniu podajemy go uduszonego na masełku, podlanego sosem z leśnych grzybów. Mało ości, więc można go dać dzieciom, w smaku zaś poezja. Nie daj się namówić na łososia, naszpikowanego pestycydami i antybiotykami. Niby rośnie w morzu, w drucianych basenach, stłoczony na maksa, karmiony paszą i profilaktycznie szprycowany farmaceutyczną chemią.

Nie mówię, że codziennie ale w ten świąteczny czas możesz się pokusić i zrobić własną kiełbaskę. W brew pozorom nie jest to wcale takie trudne. Jeżeli zdobędziesz się na zakup szynkowara wyjdzie Ci też pyszna wędlinka. Oczywiście towaru szukaj w małych masarniach, jeżeli w Twojej okolicy się jakieś ostały.

Po warzywa jedź do rolnika. Zobaczysz, że smak pyrki z gospodarstwa to coś zupełnie innego niż tej z marketu. Ten rok jest bardzo specyficzny. Pola obrodziły, producenci mają kłopot ze zbytem. Stąd narodził się pomysł samozbiorów, na to już za późno, ale paczkę można sobie zamówić, dojdzie i sumarycznie może się okazać, że nie przepłacisz. Zarazem pamiętaj też o tym, że biorąc produkty od miejscowych wspierasz sąsiadów, Tak więc nie tylko ekonomia ale i patriotyzm.

Ja zaś jako producent serów zrobiłem sobie taki mały żarcik. Małżonka kupiła formę do ciasta w kształcie choinki. No to wziąłem i wylałem ją, przedtem wysmarowawszy olejem stopionym serem, odpowiednio rzecz jasna doprawionym. Rzecz to bardzo prosta – garnek w garnek i trochę mieszania, dodawszy ze dwa jajka i ćwierć kostki masła. Całość wysypałem wiórkami suszonych pomidorów, za bombki zaś posłużyła żurawina. Nie mogłem się powstrzymać żeby popróbować. Wyszła małmazyja smaku! Będzie więc ozdoba wigilijnego stołu. Nie leń się więc Szanowny Czytelniku i ruszaj do dzieła. Jeśli zaś Cię losy w Wielkopolskę rzucą zajrzyj do Linie w Ogniu. Podejmiemy Cię godnie w każdy weekend daniami z kuchni historycznej, przygotowanymi na żywym ogniu. Rosół będzie się warzył na angielce, mięsiwa będą dochodziły w piecach chlebowych, zaś karkówka i stek na największym w Europie grillu.

Zapraszamy serdecznie:
https://liniewogniu.pl/

„Czekoladowa dynastia” – słodka saga na świąteczne dni

Grażyna Gramza

Z czekoladą jest jak z życiem –
nie poczulibyśmy w pełni jego słodkiego smaku,
gdyby nie odrobina goryczy,
której czasem musimy doświadczyć.

Joanne Harris, *Czekolada*

Któż z nas nie zna charakterystycznego logo E.Wedel? Te słodycze towarzyszą nam od dzieciństwa, przynosząc smak radości i wspomnień. W moim domu, gdy nadchodziły Święta, Mama kupowała – a raczej „zdobywała” – cukierki z „mieszanki wedlowskiej”. Chcieliśmy je wieszać na choince, ale prawie nigdy to się nie udawało. Znikały przy ubieraniu drzewka, no chyba, że zostały wcześniej dobrze ukryte – wtedy dopiero w Święta mogliśmy się nimi delektować. Bajeczne, Pierroty, Ptasie Mleczko – każde z nich miało swój rytuał jedzenia i smak, który do dziś przywołuje dziecięcą radość. Nadal lubimy te słodycze i często obdarowujemy się nimi na Boże Narodzenie.

W tym roku szczególnie polecam coś więcej niż czekoladki – książkową ucztę o dziejach słynnej rodziny Wedlów, opisaną w trylogii „Czekoladowa dynastia” autorstwa Teresy Moniki Rudzkiej, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Lucky w latach 2021–2024.

Autorka z niezwykłą dbałością o szczegóły odmalowała świat, w którym rodziła się legenda Wedla. W fabułę wplotła zarówno postacie historyczne – jak Henryk Sienkiewicz czy Bolesław Prus – jak i fikcyjnych bohaterów *Lalki*: Stanisława Wokulskiego, Ignacego Rzeckiego i Izabelę Łęcką. To powieść lekka, a zarazem treściwa – wciągająca od pierwszych stron, pełna zapachów, smaków i ciepła. Szczególnie fascynujące są fragmenty opisujące Warszawę XIX wieku i narodziny idei Karola Wedla – człowieka, który z pasji uczynił markę znaną do dziś.

Pierwszy tom, „Czas Karola”, przedstawia początki fabryki, przeprowadzkę założyciela do Warszawy i trudne, ale pełne pasji losy rodziny.

Drugi – „Czas Emila”– ukazuje lata rozkwitu firmy na tle burzliwych wydarzeń historycznych: powstania styczniowego, I wojny światowej i odzyskania przez Polskę niepodległości. Narratorką staje się powieściopisarka Helena Dąbrowska, a jej opowieść kontynuuje wnuczka – wielbicielka wedlowskiej czekolady.

Ostatni tom, „Czas Jana”, przenosi czytelnika w okres dwudziestolecia międzywojennego – czasu rozwoju sztuki, przemysłu i odważnych idei. To również opowieść o powojennej rzeczywistości, o relacjach, przyjaźniach i rodzinnych więziach, a także o miłości do piękna i tradycji, które przetrwały mimo zmian. I to bardzo trudnych – Jan utracił fabrykę w 1949 roku bezpowrotnie, a komuniści nie pozwolili mu przekroczyć jej bram. Jego pogrzeb stał się manifestacją lojalności pracowników i uznania jego zalet jako szefa i człowieka.

„Czekoladowa dynastia” to saga rodzinna z czekoladą w tle – pachnąca, ciepła i idealna na zimowe wieczory. Warto po nią sięgnąć w te świąteczne dni, gdy w powietrzu unosi się zapach pierników, a filiżanka gorącej czekolady smakuje jak wspomnienie dzieciństwa.

Myślę, że ta powieść wzbudzi w Was tyle ciekawości dotyczącej rodu Wedlów, że sięgniecie nie tylko po czekoladki, ale też odwiedzicie stronę firmy. Znajdziecie tam wiele interesujących informacji o historii marki, opisy produktów oraz interaktywną mapę, która pozwala wędrować śladami rodziny Wedlów. Jest też odnośnik do muzeum czekolady. Nie wychodząc z domu, można dowiedzieć się, jak powstaje czekolada, skąd trafiła do Europy i poznać wiele innych fascynujących ciekawostek. Gorąco zachęcam i życzę zaczytanych Świąt Bożego Narodzenia!

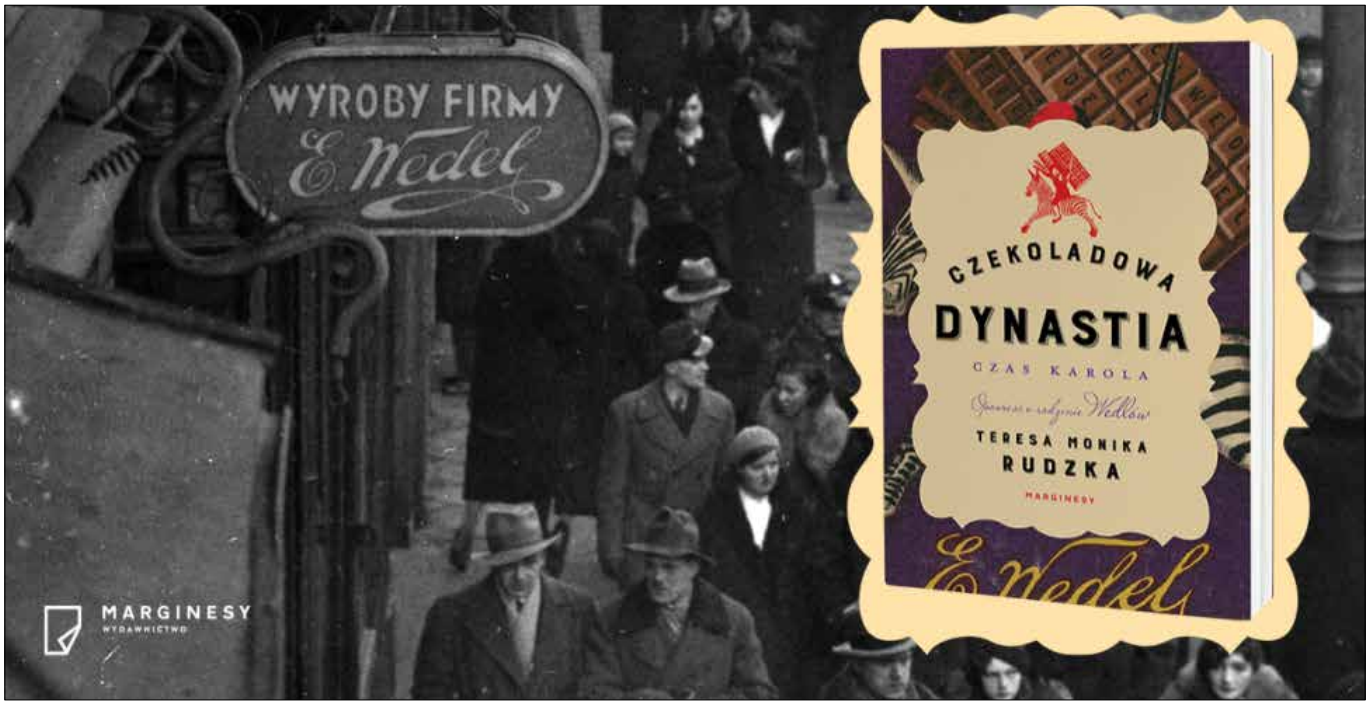

„Z Sybiru do Afryki. Zapomniana odyseja Polaków”

Izabella Perzyńska-Keizer

Do podróży na Zanzibar namówiła mnie koleżanka — okulistka, od kilku lat pracująca charytatywnie w Afryce, głównie na Zanzibarze i w Tanzanii. Po czterech dniach spędzonych na wyspie wyruszyliśmy w głąb kontynentu — samolotem dotarliśmy do Tanzanii, do miejscowości Arusha, położonej około 50 kilometrów od majestatycznego Kilimandżaro.

Był to dla mnie kraj całkowicie obcy, a przez to niezwykle ciekawy i zaskakujący. Afryka od pierwszych godzin pokazała swoje inne, surowe i jednocześnie fascynujące oblicze. Poruszaliśmy się po okolicy samochodem z kierowcą i przewodnikiem, ponieważ piesze wędrówki były w zasadzie niemożliwe. Lokalni kierowcy — zarówno samochodów, jak i motocykli — poruszają się z ogromną brawurą, a brak wyznaczonych tras dla pieszych sprawia, że poruszanie się po drogach na własnych nogach bywa niebezpieczne. Na nieutwardzonych trasach kurz unoszący się za przejeżdżającymi pojazdami ograniczał widoczność niemal do zera.

Od lewej: Peter Sanders, Hania Pecold, Izabela Perzynska, Simon Josef Anders – opiekun cmentarza i muzeum, Jeroen Keizer, dzieci Renata Emmanuel i Brayton Daniel

Wkrótce dotarliśmy na tereny plantacyjne, wśród których gdzieniegdzie pojawiały się zabudowania. W pewnym momencie naszym oczom ukazała się niepozorna tabliczka z napisem: Cmentarz Wygnańców Polskich. Pojechaliśmy za kolejnymi znakami i po chwili znaleźliśmy się przed bramą cmentarza. Na bramie wisiała kłódka.

Poczułam rozczarowanie — wydawało się, że nasza podróż kończy się w martwym punkcie. Jednak nasz tanzański przewodnik, władający językiem suahili i doskonale znający okolice, nie zamierzał się poddać. Odnalazł osobę opiekującą się cmentarzem.

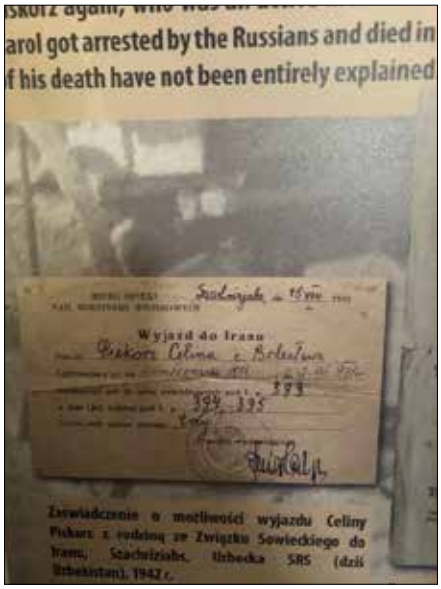

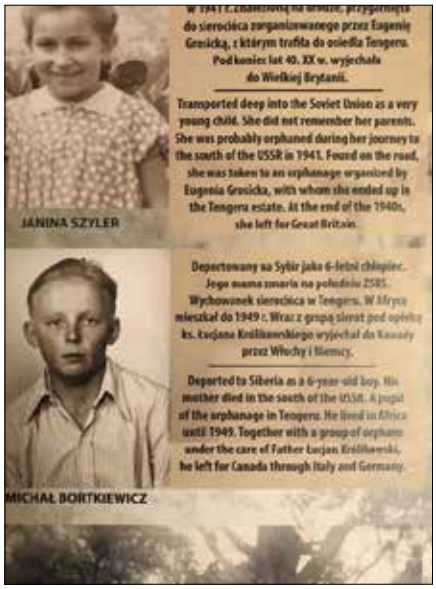

Był nią pan Simon Josef Andrea, urodzony w 1957 roku, syn człowieka, który w 1942 roku współtworzył polskie osiedla dla sybiraków w Tengeru.

To właśnie tutaj trafiło około czterech tysięcy Polaków — głównie kobiet i dzieci, wycieńczonych zesłaniem na Sybir i wielomiesięczną tułaczką.

Na szlaku Iran – Afryka

Polacy zesłani na Sybir po 17 września 1939 roku zostali ewakuowani ze Związku Radzieckiego do Iranu. Ewakuacja odbyła się w dwóch etapach — od marca do września 1942 roku.

Główny szlak prowadził przez Turkmenistan do obozu przejściowego Pahlevi w Iranie (dzisiejsze Bandar-e Anzali), a następnie do obozów w Teheranie. Na terenie Iranu znalazło się ponad 110 tysięcy obywateli polskich.

Niestety, dla wielu ta droga okazała się ostatnią. Z powodu skrajnego wycieńczenia organizmu, chorób nabytych na zesłaniu oraz trudów wielomiesięcznej podróży, ponad 2100 osób zmarło w Iranie na skutek dyzenterii, tyfusu, malarii i chorób wynikających z niedożywienia.

Przybyli Polacy nie mogli zostać w Iranie. Trwająca wojna, zagrożenie niemiecką ofensywą i niestabilna sytuacja polityczna wymusiły poszukiwanie nowych miejsc schronienia. Ponieważ terytorium Polski znajdowało się pod okupacją, rząd polski mógł liczyć wyłącznie na pomoc Wielkiej Brytanii. Generał Władysław Sikorski uzgodnił z Brytyjczykami dalszą ewakuację ludności cywilnej. Transporty kierowano do obozów tranzytowych w Indiach Brytyjskich, Afryce, Meksyku i Nowej Zelandii.

Najliczniejsza fala uchodźców trafiła do Afryki. W lipcu 1942 roku rząd polski na emigracji uzgodnił z gubernatorami Tanganiki, Kenii i Ugandy możliwość osiedlenia Polaków w Afryce Wschodniej na czas wojny.

Pierwszy transport dotarł do portu Tanga w Tanganice 27 sierpnia 1942 roku. Na pokładzie statku znajdowało się 1400 osób, które przewieziono do Dar es Salaam. Kolejny transport przybył do Mombasy w Kenii 19 września. Do końca miesiąca w ugandyjskim Masindi umieszczono ponad tysiąc osób, a w Tanganice — w Morogoro i Kondoa – kolejne setki uchodźców. W październiku

następne grupy skierowano do Tengeru, Kondoa, Ifundy i Kidugali.

Tempo ewakuacji było wysokie. Pod koniec 1944 roku w Afryce Wschodniej przebywało łącznie 13 364 Polaków, z czego aż 6 631 w dzisiejszej Tanzanii.

Raj na ziemi

W Afryce Wschodniej powstało sześć stałych polskich osiedli uchodźczych — cztery w Tanzanii (Tengeru, Kondoa, Ifunda, Kidugala) oraz dwa w Ugandzie. Polacy stali się wówczas największą europejską mniejszością w tej części kontynentu.

Miejscowa ludność z niezwykłą życzliwością pomogła przybyszom z Polski odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Dostarczano materiały budowlane, żywność, a także pomagano w budowie domów.

Największe osiedle w Tengeru liczyło 947 domów, a w szczytowym okresie zamieszkiwało je 4018 osób. Uchodźcy stworzyli własną infrastrukturę — powstały szkoły, plantacje, rzeźnia, piekarnia, tkalnia, cegielnia, szpital i sierocińce. Rozkwitało harcerstwo. Wydawano polską prasę, m.in. „Polaka w Afryce", „Głos Afryki", a dla najmłodszych „Płomyczek Afrykański", w którym publikowano bajki i legendy.

Dla miejscowych mieszkańców było niezrozumiałe, dlaczego uchodźcy nazywali ten skrawek Afryki „rajem". Ale w porównaniu z Syberią — rzeczywiście nim był. Okrągłe domki kryte liśćmi palmowymi czy trawą po raz pierwszy od lat dawały poczucie bezpieczeństwa.

W pobliżu osiedla założono cmentarz — miejsce wiecznego spoczynku Polaków wyznania rzymskokatolickiego, prawosławnego i mojżeszowego.

Dzieci

Wśród mieszkańców Tengeru aż 43 procent stanowiły dzieci. Były wychudzone, osierocone i naznaczone traumą zesłania. Jednak tu po raz pierwszy mogły znów być dziećmi.

Na tysiąc uczniów przypadały… dwa podręczniki. Nauczyciele rysowali mapy ręcznie, wykładali z pamięci, a dzieci uczyły się z notatek. Mimo to szkoła w Tengeru szybko stała się największym ośrodkiem edukacyjnym w całej Afryce Wschodniej.

Decyzje konferencji jałtańskiej złamały wielu uchodźców. Wielu nie chciało wracać do kraju podporządkowanego Związkowi Radzieckiemu. Do Polski powróciło zaledwie 20 procent Polaków. Reszta rozjechała się po świecie. W latach 1947–1948 tysiące wyjechały do Wielkiej Brytanii, Kanady, USA, Argentyny i Australii. Osiedle w Tengeru zakończyło działalność w 1952 roku. W Tanzanii pozostało kilkaset osób.

Jedną z wychowanek była Janeczka Szyler — dziewczynka znaleziona przy drodze

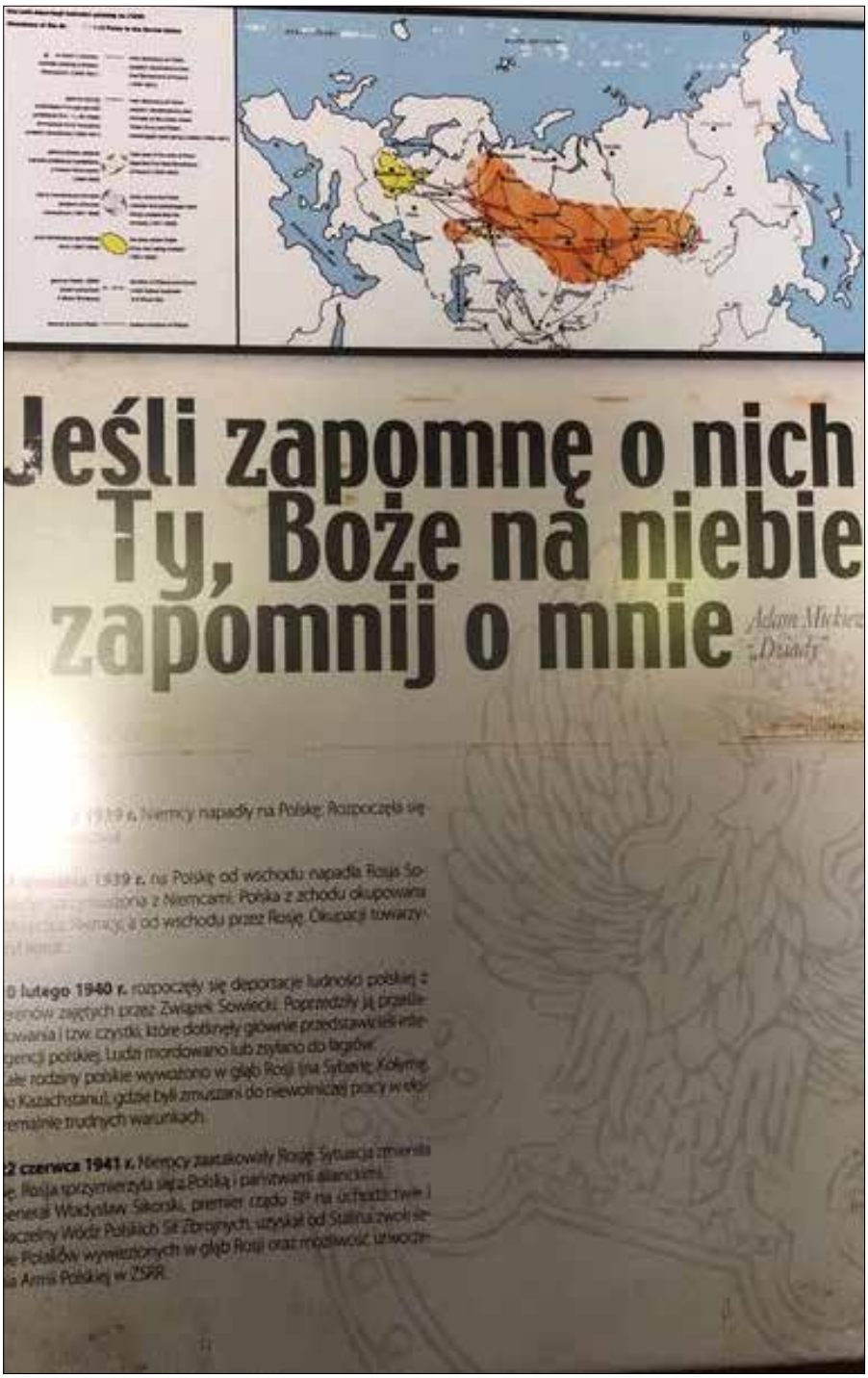

– nie znała swojego wieku ani pochodzenia. Wraz z 680 innymi sierotami trafiła do tengerajskiego sierocińca, którym opiekowała się Eugenia Grosicka. Później razem wyjechały do Anglii.

Michał Bortkiewicz został wywieziony na Sybir w 1940 roku jako sześcioletnie dziecko. W Iranie stracił matkę i siostrę. Do Afryki trafił jako sierota. W 1949 roku wyjechał do Kanady, gdzie przeżył resztę życia. Zmarł w 2017 roku.

Cmentarz

Dziś na polskim cmentarzu w Tengeru znajduje się 148 grobów. Spoczywają tu ludzie, których los zawiódł 10 tysięcy kilometrów od ojczyzny.

1 listopada 2025 roku chciałam zapalić symboliczną świeczkę tym, którzy przeszli przez piekło Syberii, by odnaleźć spokój u stóp Kilimandżaro. Nie było to możliwe — w Tanzanii wybuchły zamieszki, wprowadzono godzinę policyjną i odcięto internet.

Dodam, ze moja rodzina mieszkała w Ostkach na Wołyniu – dziadek był Nadleśniczym Lasów Państwowych. Po 17 września 1939 roku wszyscy znaleźli się na liście Polaków zapisanych na zsyłkę na Sybir. Mieli szczęście — uciekli przed zsyłką. Inni nie zdążyli.

Historia polskich wygnańców w Afryce mogła być historią mojej rodziny.

Fragment powieści „Parasol pełen kwiatów”

Alek Silber

Gospodarz nastawił wiolonczelowe suity Bacha. Na ich tle cieknąca woda, płomień świeczki i czerwone wino stworzyły klimat swoistego ciepła. John przeprosił ją na chwilę, by przynieść następną butelkę wina. Korzystając z jego nieobecności, Magda wstała, by wyjść do „zewnętrznej toalety”. Wzięła leżący na koszu parasol. Rozpięła tasiemkę, lecz nie mogła znaleźć nacisku do otwierania. Kiedy spuściła parasol szpikulcem do dołu, okap otworzył się sam, lecz gdy podniosła go do góry, opadał z powrotem. Magda przyjrzała się bliżej i zauważyła, że ten dziwny przyrząd nie był popsuty, lecz w ogóle nie posiadał żadnych wspórek umożliwiających jego normalny użytek. On po prostu nie mógł służyć jako parasol. Lecz na tym nie kończyła się jego osobliwość. Płótno było z zewnątrz czarne, podczas gdy strona wewnętrzna pomalowana była w wielkie, kolorowe kwiaty. W tym momencie wrócił John, z radością unosząc butelkę jakiegoś wyjątkowo dobrego wina. Zaintrygowana kwiecistym dziwactwem, Magda zapytała żartobliwie, czy była to zabawka dla przedszkolaków, czy też podarek dla niespełna kojarzących? John zbladł, odstawił butelkę wina i z trudem hamując wzburzenie, poprosił Magdę by z nim wyszła na zewnątrz. Widząc jej wahanie, chwycił ją za ramię i niemal wypchnął na zalany deszczem ganek. Sam stanął obok niej, opuścił parasol, patrząc jak woda zalewa kolorowe kwiaty.

– Nie śmiej szydzić z tego parasola – zaczął, przekrzykując ulewę – podarował mi go mój przyjaciel Peter. Jest to najcenniejsza rzecz, jaką posiadam – drżał mu głos – Peter był klownem cyrkowym. Uważał, że świat jest cyrkiem pełnym dzikich bestii, dlatego sam uciekł do cyrku, w którym stworzył swój własny świat. Wymyślił sobie popisowy numer z tym właśnie parasolem. Wspinał się z nim po rozlicznych drabinkach aż pod sam strop namiotu cyrkowego. Tam zatrzymywał się, coś majstrował przy sprzęcie wydając śmieszne okrzyki. Potem podskakiwał, wyczyniał jakieś śmieszne figle, aż nagle padał w dół. W tym momencie widownia zamierała ze grozy. Lecz po chwili parasol się otwierał i Peter spokojnie opadał na arenę w aureoli tych właśnie kwiatów. Publiczność, a zwłaszcza dzieci, uwielbiały ten numer, był to jeden z ulubionych punktów programu. Oczywiście sam parasol nie wystarczyłby jako spadochron, toteż zawieszony był na specjalnej linie. Peter, jak wielu artystów, miał niepokojącą intuicję. Kiedyś, w chwili słabości, przyznał mi się, że nie miał całkowitego zaufania do tej liny i za każdym razem wspinając się po drabince do góry, żegnał się ze światem. Każdy moment, w którym stawał wysoko nad areną patrząc na morze uniesionych w górę głów, był dla niego ostatnim, a kilka sekund lotu, dopóki parasol się nie otworzył, były umieraniem. Ale kiedy już szybował, spoglądał w górę, widział kolorowe kwiaty i był szczęśliwy. Cieszył go ten absurdalny lot i to, że przysparzał nim tyle radości innym. Otóż, kiedy mi się zwierzył z owych odczuć, poprosił mnie, że gdyby ta lina, gdyby coś się stało... żebym zachował parasol, jako pamiątkę naszej przyjaźni. Błagałem go, zaklinałem, by porzucił ten karkołomny występ. Sam nigdy nie miałem odwagi oglądać tego na własne oczy.

John przerwał, stojąc bez ruchu. Dopiero teraz zauważył, że obydwoje byli kompletnie przemoknięci. Magdy włosy zwisały jak mokre strączki, jej makijaż spłynął strużkami ciemnych pasemek, mokry sweter przykleił się do ciała, w butach chlupała woda. John był również cały mokry. Już nieco spokojniejszy przeprosił Magdę za niepohamowany wybuch i za tę całą historię, zapraszając ją do środka. Odpowiedziała, że już pójdzie, że to wszystko jej wina, zachowała się nietaktownie. To ona powinna go przeprosić, była niewdzięcznym gościem, i jeszcze raz prosiła o wybaczenie. John nalegał, by została. Przyniesie jej szlafrok, przecież nie może siedzieć w mokrym ubraniu, zaziębi się. Magda jednak obstawała przy swoim.

– Proszę, zostań, wysłuchaj chociaż do końca historii parasola – mówił niemal błagalnym tonem..

Tym ją przekonał. Założyła przyniesiony szlafrok, mokre rzeczy rozwiesili na krzesłach, John też się przebrał i wrócili na werandę.

– Zwróć uwagę – podjął opowieść rozpościerając parasol – na zewnątrz jest on czarny, nieistotny, czyli ciemność, pustka, próżnia, nic. Tę stronę Peter pokazywał światu. A w środku? Spójrz, cały kalejdoskop barw; radość życia, bogactwo do-

znań, fantazja, śmiech, pasja; szalony korowód czerwieni, zieleni, błękitów i purpury. Zauważ, że każdy kwiat jest inny, każdy oddycha własnym życiem, pulsuje swoistym rytmem, promieniuje unikalnym pięknem. Wszystkie wirują i tańczą w barwnym korowodzie. To był jego prywatny świat. Może jest paradoksem, że obnażał go pełnej widowni, ale wtedy on sam był szczelnie ukryty pod maską klowna. Nie muszę ci mówić, kto namalował te kwiaty. Peter był człowiekiem szczęśliwym i starał się tę radość zaszczepić innym. – Człowiek – powiadał – winien uwierzyć w mit własnego szczęścia. Nie wiem, skąd się wzięły te jego poglądy. Wprawdzie skończył filozofię, ale dawno porzucił książki. Podejrzewam, bo nie zdążyłem go o to zapytać, że stając codziennie w obliczu śmierci, potrafił w pełni docenić wartość życia. On cieszył się wszystkim: drzewem, kamieniem, dymem, wiewiórką, rozmową z przyjacielem i deszczem w rynnach. Lecz ostatecznie wszystko to były tylko didaskalia, cała siła i piękno były w nim samym i umiał z tego czerpać.

Magda patrzyła na Johna nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Jego oczy płonęły, usta miał spierzchnięte, jak w febrze, drżały mu ręce. Niewiarygodne, że był to ten sam John, który przymierał samotnie przykuty do łóżka w zimową noc. Nie poznawała w nim chłopca, którego usiłował zniszczyć reżim internatu, czy surowość ojca. A może to właśnie był on, może właśnie dlatego, że przeszedł to wszystko, potrafił się schować pod kwiaty parasola? Wewnętrzna siła i wewnętrzne piękno – to były jego słowa. Nagle przypomniała sobie dźwięk klawesynu wtedy na koncercie, kiedy grał Janssen. Bez wątpienia to muzyk wydobywał zaczarowane dźwięki i podawał je światu, lecz przecież ktoś je musiał tam włożyć, tchnąć nimi w duszę instrumentu, ktoś kto je sam wyczuł, wymyślił, ktoś je opłacił własnym potem i cierpieniem, ktoś komu woda kapała na głowę, o kim zapomniał świat, a pozostał jedynie parasol pełen kwiatów... Czuła, jak jej pulsują skronie, lodowacieją ręce.

– Czytałaś Upadek Camusa, prawda? – podjął dalej John – pamiętasz, co mówi o przyjaźni i przyjacielu? Rzuca niebłahe wyzwanie pytając, czy kiedy twój przyjaciel leży w celi więziennej, ty też kładziesz się spać na ziemi i żywisz się suchym chlebem i wodą? Więc wiedz, dla niego byłem gotów to zrobić bez wahania. I wiem, że on dla mnie też.

– A miłość, co mówił o miłości?

– Rozmawialiśmy kiedyś na ten temat. Peter uważał, że miłość jest niczym efemeryczna nimfa, piękna i urzekająca, ale nieuchwytna, z góry skazana na stracenie. Zniszczy człowieka bez solidnej bazy. Niejeden już się nigdy nie pozbierał. Tylko nielicznym spełnią się oczekiwania. Ale człowiek będzie zawsze próbował, bo jest marzycielem, hazardzistą i... brak mu rozsądku. I dobrze, że tak jest.

Nastała cisza. Tylko słychać było miarowe uderzenia deszczu o blaszany dach i szum ryniennych potoków. Po ciemnych szybach spływały strugi wody. Zabłąkana kropla wpadła do kieliszka z winem, druga tuż obok świeczki. Magda wstrzymała oddech i położyła rękę na dłoni Johna. Chciała coś krzyknąć, szepnąć, lecz poczuła potworny ścisk w krtani, nie potrafiła wydobyć z siebie jednego słowa. John delikatnie uniósł jej rękę i położył na stole. Z pełnego kubła przelewała się woda. On wstał, by go opróżnić i wytrzeć podłogę. Magda pospiesznie założyła mokre ubranie, pocałowała Johna w policzek i wybiegła do samochodu. ■

DRUKARNIA SWARZĘDZKA
www.drukarniaswarzedzka.pl
DRUK OFFSETOWY CYFROWY
WIZYTÓWKI • LISTOWNIKI • ULOTKI • PLAKATY
FOLDERY • GAZETY • NAKLEJKI • BUTONY
PIECZĄTKI • PLAKATY • BANERY • ROLLUP-y
KATALOGI • KALENDARZE • ZAPROSZENIA
• DRUKI SAMOKOPIUJĄCE z numeracją •
STUDIO GRAFICZNE • OD PROJEKTU DO WYKONANIA
Swarzędz, ul. Pogodna 24a
61 651 57 02 • 609 75 18 19

Andrzej Pągowski – artysta z przekazem

Zofia Schroten-Czerniejewicz

To niezwykłe czym obdarza nas Andrzej Pągowski. Chyba najbardziej znany jest jako twórca plakatów filmowych. Scena Polska w Holandii zawdzięcza artyście nie tylko swoje wspaniale logo, ale także kilkanaście plakatów do „Polskiej Wiosny Filmowej" i ten niezapomniany, do Retrospektywy Krzysztofa Kieślowskiego w Holandii z 2005 roku.

Z wielką radością i wzruszeniem przeczytałam na FB wpis Andrzeja Pągowskiego po lekturze poprzedniego, 3 numeru „Sceny Polskiej". Podzielam pogląd artysty na temat plakatów filmowych towarzyszących projekcjom filmów w kinach. I cieszę się, że Andrzej Pągowski tworzy plakaty, na które te filmy zasługują. Dlatego, na okładkach tego, świątecznego numeru, dzięki uprzejmości artysty prezentujemy dwa plakaty do filmów, które na nie zasługują. Zarówno film „Brat" Macieja Sobieszczańskiego jak i film „Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego obejrzałam na festiwalu filmowym w Gdyni. To piękne, chociaż trudne filmy. Trudne bo opowiadają historie, o których wolimy nie mówić, które nie powinny się zdarzać, ale są. Przemoc domowa, smutek dziecka. I oby w tym świątecznym i też po tym okresie więcej tego nie było. Zwróćmy baczniejsza uwagę na to co dziej się blisko nas, w domach sąsiadów, na ulicy. Dzięki postępowi technologii widzimy daleko, zaglądamy do Kosmosu. A czasami warto wrócić na ziemię, zrozumieć drugą osobę, przeciwstawić się krzywdzie, zwłaszcza dzieci. Jak patrzę na plakaty Andrzeja Pagowskiego to chce mi się iść do kina, nawet na najtrudniejszy film. A Państwu obiecuję, że „Scena Polska w Holandii" nie pozostanie bierna na uroki kina i wróci do organizowania w Holandii spotkań z filmem i plakatami Andrzeja Pagowskiego. ■

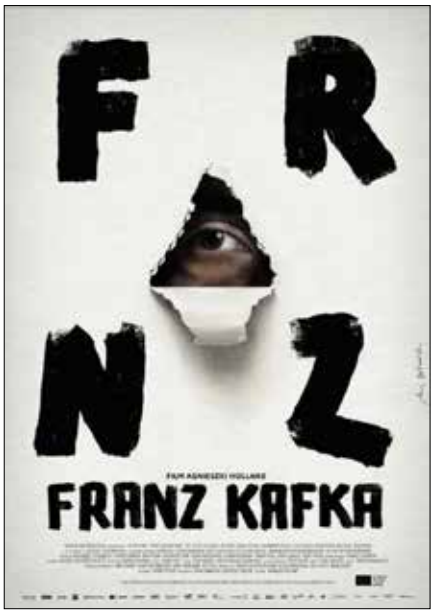

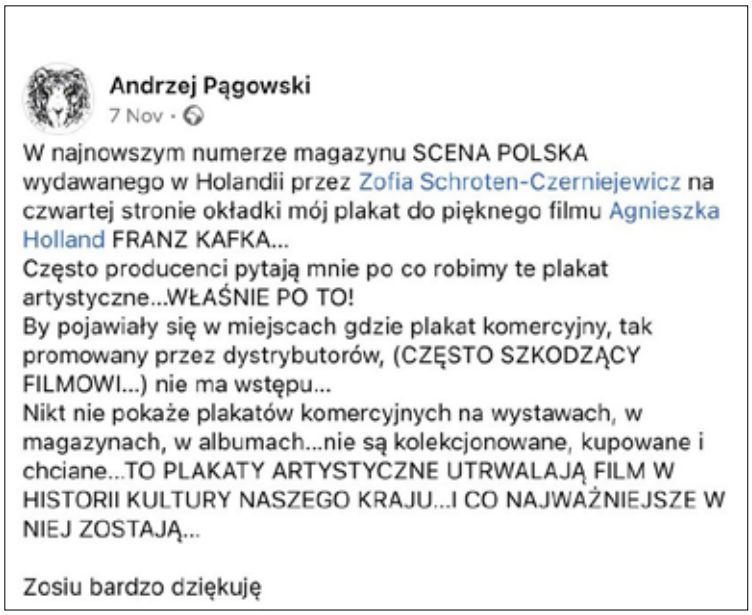

Andrzej Pągowski
7 Nov ·

W najnowszym numerze magazynu SCENA POLSKA wydawanego w Holandii przez Zofia Schroten-Czerniejewicz na czwartej stronie okładki mój plakat do pięknego filmu Agnieszka Holland FRANZ KAFKA...
Często producenci pytają mnie po co robimy te plakat artystyczne...WŁAŚNIE PO TO!
By pojawiały się w miejscach gdzie plakat komercyjny, tak promowany przez dystrybutorów, (CZĘSTO SZKODZĄCY FILMOWI...) nie ma wstępu...
Nikt nie pokaże plakatów komercyjnych na wystawach, w magazynach, w albumach...nie są kolekcjonowane, kupowane i chciane...TO PLAKATY ARTYSTYCZNE UTRWALAJĄ FILM W HISTORII KULTURY NASZEGO KRAJU...I CO NAJWAŻNIEJSZE W NIEJ ZOSTAJĄ...

Zosiu bardzo dziękuję

Dwór Skrzynki zaprasza

Dwór Skrzynki w zimowej scenerii (fot. arch. Instytutu Skrzynki)

Dwór Skrzynki to jedno z najnowszych i najbardziej wyjątkowych miejsc w okolicach Poznania. Odrestaurowany z dbałością o szczegóły, łączy klimat dawnej rezydencji z nowoczesną ofertą kulturalną i kulinarną. Obiekt został wyróżniony prestiżowymi nagrodami turystycznymi, co potwierdza jego rosnące znaczenie na mapie regionu.

Centralnym punktem Dworu jest restauracja, w której tradycja spotyka się z nowoczesnością. Menu oparte na lokalnych produktach zachwyca różnorodnością – od klasycznych zup i mięs, przez pierogi w regionalnym wydaniu, po autorskie desery przygotowane z owoców z wielkopolskich sadów. Każdy gość może skosztować tutejszej kuchni, niezależnie od tego, czy zatrzymuje się tu na nocleg, czy tylko odwiedza Dwór w ciągu dnia.

Miejsce dynamicznie się rozwija. W odrestaurowywanej gorzelni powstają nowe przestrzenie gastronomiczne i eventowe, a park i sam Dwór służą jako sceneria wystaw, plenerów artystycznych, spektakli, kina letniego i licznych koncertów. Dzięki temu każdy pobyt tutaj łączy wypoczynek z kulturą i sztuką.

Dwór Skrzynki to także przestrzeń do pracy i spotkań – trzy sale konferencyjne wyposażone w nowoczesny sprzęt, wygodne zaplecze techniczne i wyjątkowe wnętrza sprzyjają zarówno wydarzeniom biznesowym, jak i kameralnym uroczystościom. Dopełnieniem oferty są eleganckie pokoje, apartament z tarasem oraz stylowe przestrzenie sprzyjające odpoczynkowi.

Aktualny program koncertów, wystaw, warsztatów i innych wydarzeń dostępny jest na stronie www.dworskrzynki.pl. To miejsce, które ciągle się rozwija, stając się ważnym punktem kulturalnym i kulinarnym Wielkopolski.

Bartłomiej Nizioł i Łukasz Kuropaczewski – wirtuozi w Dworze Skrzynki (fot. arch. Instytutu Skrzynki)

DWÓR SKRZYNKI

Zabytkowa rezydencja, w której kulinarna tradycja Wielkopolski, polska gościnność i kultura łączą się w harmonijną całość.

RESTAURACJA | NOCLEGI | KONFERENCJE | SZKOLENIA
IMPREZY FIRMOWE I OKOLICZNOŚCIOWE
KONCERTY I WYDARZENIA KULTURALNE

Dwór Skrzynki | Pl. Parkowy 1 | 62-060 Skrzynki | gm. Stęszew | powiat poznański | Polska

WWW.DWORSKRZYNKI.PL

INSTYTUT SKRZYNKI | SMAKI POWIATU Poznańskiego | GALERIA SKRZYNKI | POWIAT POZNAŃSKI

DOM DOBRY

REŻYSERIA
WOJTEK SMARZOWSKI

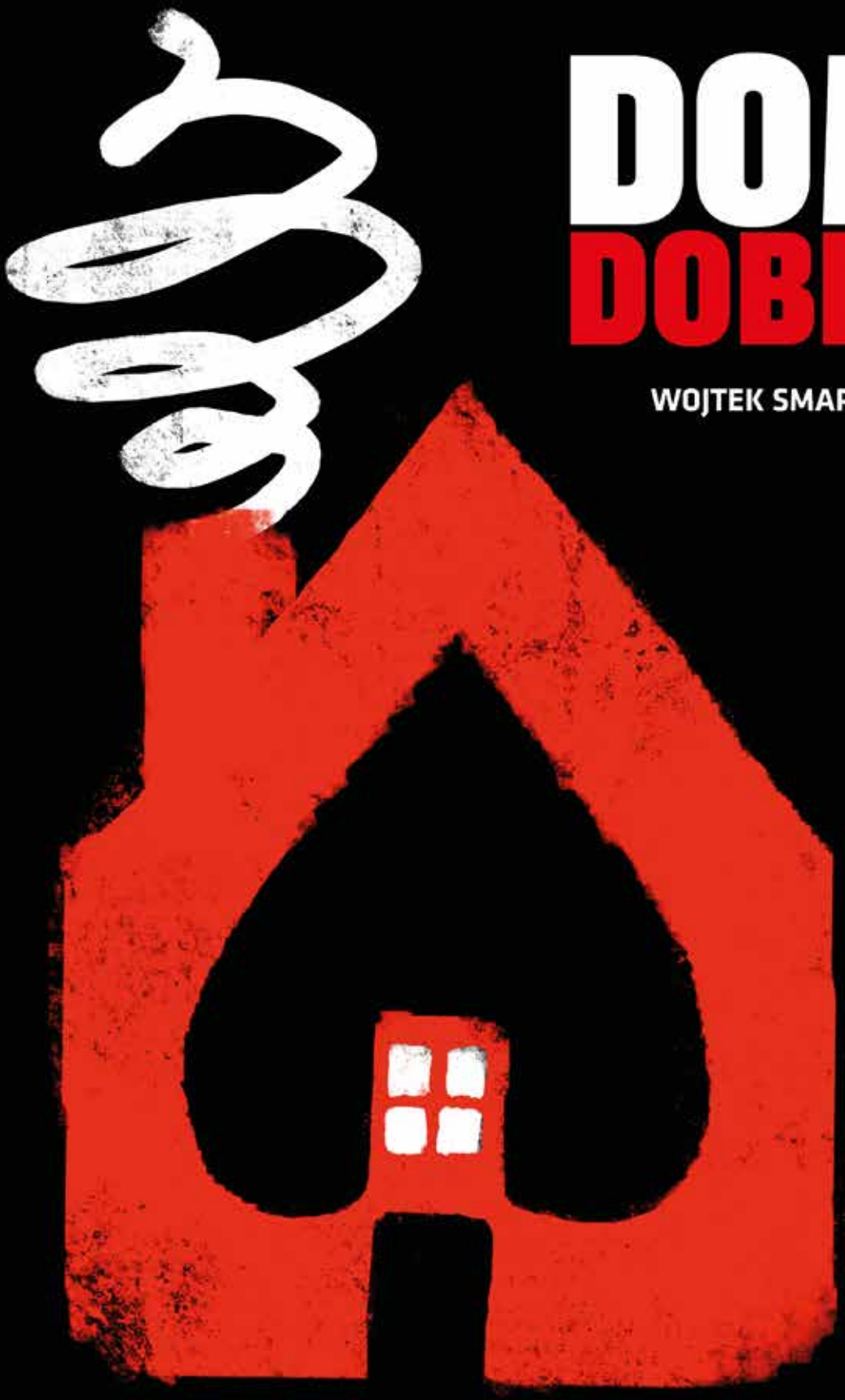

WARNER BROS. PICTURES PRZEDSTAWIA FILM "DOM DOBRY"
PRODUCENT LUCKY DOG SP. Z O.O. WOJCIECH GUSTOMICZYK, JANUSZ HETMAN PRODUCENT WYKONAWCZY WOJCIECH GUSTOMICZYK PRODUCENT WYKONAWCZY JOANNA DRZEWIECKA, ANDRZEJ DRZEWIECKI, ADAM GUDELL PRODUCENT KREATYWNY ANDRZEJ SEROWIOW PRODUCENT LINIOWY INGWA POLAK
SCENARIUSZ I REŻYSERIA WOJTEK SMARZOWSKI ZDJĘCIA PAWEŁ TYBURA SCENOGRAFIA JOANNA MACHA CHARAKTERYZACJA LILIANA GAŁAZKA KOSTIUMY MAGDALENA RUTKIEWICZ-LUTEREK
DŹWIĘK RADOSŁAW OCHNIO MONTAŻ MIKOŁAJ TRZASKA MONTAŻ KRZYSZTOF KOMANDER REŻYSER DŹWIĘKU MAGDALENA SZWARCBART
WE WSPÓŁPRACY Z JAROSŁAW BOJARSKI ORAZ MILENA RADOMIAK KONRAD KARAUDA

OBSADA: AGATA TURKOT TOMASZ SCHUCHARDT
MICHAŁ CZERNECKI MICHAŁ GADOMSKI MAGDALENA GORZELAŃCZYK ARKADIUSZ JAKUBIK JULIA KIJOWSKA ANDRZEJ KONOPKA AGATA KULESZA DOMINIKA BEDNARCZYK-KRZYŻOWSKA AGNIESZKA MATYSIAK
AGNIESZKA PRZEPIORSKA PRZEMYSŁAW PRZESTRZELSKI MAGDALENA SMALARA MARIA SOBOCIŃSKA ANNA SZYMANCZYK MARCIN SZTABIŃSKI ROBERT WABICH KATARZYNA ZAWADZKA